Numer 21. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 24 Maja 1931



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Pieśń dziadowska.

Oj ciężka, ciężka jest dziadowska dola,
Gdy się na świecie zazieleni rola
Wszystko wyjeżdża do miasta sławnego —
Zakopanego.
I po Krakowie mało kto już chodzi,
Więc biedny dziaduś próżno pieśń zawodzi,
Nie znajdziesz nigdzie porządnej publiki —
Samie letniki.
Więc biedny dziaduś także roku tego
Wybrał się latem do Zakopanego,
Chce raz zobaczyć, jak te pańskie nacje —
Robią kuracje.
Przyjeżdżo na stacje, siado se na furkę,
Roz jedzie na dół, drugi roz pod górkę,
Bierze pensjot lub stoi w hotelu —
Już jest u celu.
U Dzikiewicza lub innego Chranca
Przewdziwo portki taki jeden kłamca
Przejdzie Krupówki, zrobi kroków trzysta —
I już turysta.
W kawiarniach siedzą z wielkiemi oknami
Kawalerowie z cudzeni żonami
I to się zowie — o nie karz ich Panie —
Wyrandowanie.
U Dzikiewicza, Płonki rżnie muzyka,
W sali się świci z gazu elektryka,
Piją szampany i różne naliwki —
Panny i dziwki.
A gdy deszcz pada i jest niepogodnie,
Taki Pan znowu wdziwo inne spodnie,
W kawiarni siedzi, na kelnera krzyka
Na dyszcz narzyka.
Gdy jest pogoda, mówi idę w góry,
Chociaż ze strachu wyłazi ze skóry,
Na plecach worek, w ręku topór niesie
I niby pnie się.
Gdy wraca do dom, mówi żonie, bratu,
Że się wydrapał na sam szczyt Zawratu,
I prawdę mówił, że z Zawratu wrócił —
Bo się zawrócił.

Za niedługo.

Gość do służącego:
— Jest pan?
— Nie, kąpie się.
— Takim razie zaczekam.
Po pół godziny pyta się znowu:
— Kiedyż już pan twój powróci?
Służący z przyjemnym uśmiechem:
— Pewno za dwa miesiące, bo pojechał do Krynicy.

Pogodził się.

Pewien pijak był wielkim nieprzyjacielem wody i wszędzie ją ganił, jako najszkodliwszą zdrowiu. Zdarzyło się, że zachorował był śmiertelnie, gorączka go mocno paliła i wielkie pragnienie wzniecała. Prosi o wodę, alić mu rzekną domowi, uśmiechając się, że on wody nigdy przedtem cierpieć nie mógł. Chory im na to odpowie: Alboż nie wiecie, że dobry chrześcijanin, mający umierać, powinien się pogodzić ze swoim nieprzyjacielem.

Numer 21. Rok XIV. Kraków, dnia 24 maja 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.391. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Zielone Świątki.

O jakże cudnie Pan Bóg przystroił ziemię na to swoje wielkie święto doroczne, jakiem są Zielone Świątki. Wszędzie zieleń, kwiaty, moc zieleni, moc kwiatu, a człowiekowi jakoś tak miło i swobodnie na ziemi, że zapomina nawet o troskach, które go przygniatają, a żyje życiem dzisiejszem, rozkoszuje się pięknem przyrody, kąpie się w blaskach słońca, niejako przepływa przez tę zieleń świata, pławi się w kwieciu, które wokół go otacza.

Gdy Pan Jezus przyszedł na świat, była nietylko na nim zima sroga, ale niemniej oziębłe były serca ludzkie, które pozostawały jakby w długiem uśpieniu. Przebudziło je dopiero Zmartwychwstanie Pańskie i odtąd serca te zaczęły drgać i wznosić je ku Bogu. Ale jeszcze nieraz szaruga złości tego świata odwodziła je od szczytnych ideałów i pogrążała w odmęt codzienności. Bywało nieraz z sercem człowieka tak, jak to bywa w kwietniu, gdzie to jest trochę zimy, a trochę lata: raz myśl ludzka wznosiła się ku Bogu, to znów staczała się w przepaść zapomnienia o Nim. Aż przyszło wielkie święto ugruntowania Dobra na ziemi. Przyszło Zesłanie Ducha Świętego, który zniszczył ziąb serc ludzkich, a ugruntował w nich ogień miłości, który miał płonąć tam po wieki wieków. W sercach ludzkich zapanowała odtąd wiekuista wiosna miłości Bożej. Było to najpiękniejsze na świecie, co na nim być mogło. I może dlatego właśnie wielką tę uroczystość obchodzimy w najpiękniejszej porze roku.

W dzień Zielonych Świątek nie wystarcza jednak człowiekowi ta zieleń, jaką Bóg świat przystroił; jest mu jej zamało, onby chciał, aby zieleń ta zapanowała wszędzie, gdzie tylko możliwe. To też na dzień ten przystrajamy drzwi i okna nasze zielonemi gałązkami, zaścielamy podłogi naszych mieszkań zielonym tatarakiem.

Zielone Świątki są nietylko świętem kościelnem, ale i zarazem świętem w przyrodzie. Czesi nazywają Zielone Świątki „Świętem kwiatów". W wszystkich zaś krajach chrześcijańskich zwyczaj przystrajania zielenią nietylko domów, ale i kościołów jest szeroko rozpowszechniony. W dawnych czasach usiłowali kapłani znieść ten zwyczaj, gdyż brał on początek z uroczystości pogańskich, ale bezskutecznie. Ludzie potajemnie stroili mieszkania świeżemi gałązkami brzeziny i tak też zostało aż do naszych czasów.

Bardzo ładny zwyczaj zachował się do dziś dnia w Belgji. Sypią tam w dzień Zielonych Świątek z chórów kościelnych na wchodzących do kościoła czerwone róże. Oczywiście my zwyczaju tego, choćbyśmy chcieli, naśladować nie możemy, bo u nas przy domach pokrzyw nie brak, ale róże... Ktoby tam na takie rzeczy pieniądze wydawał, ktoby się o róże troszczył?! Smutne to, ale prawdziwe! Nam róże zastępują chwasty i pokrzywy.

Pamiątkę Zesłania Ducha Świętego na Apostołów obchodzi Kościół katolicki jako uroczyste święto już od roku 305, ale pomimo tylu wieków ma ono jeszcze dużo podobieństwa do pogańskiego święta „Maja", którem w szarej, przedhistorycznej przeszłości witano co rok powrót wiosny. Kościół tylko uszlachetnił owe dawne uroczystości, przemienił je z obchodów domowych w obchody religijne i nadał im inne zupełnie znaczenie. I dziś prawie już zupełnie znikły dawne ceremonje, jakie panowały w dzień święta wiosny, a cały wysiłek ludzki kieruje się ku temu, aby dzień Zesłania Ducha Świętego uczcić jak najgodniej, uczcić prawdziwie po katolicku.

Cecora.

Powieść historyczna. (Ciąg dalszy)

Pan Szymon Kopyciński *) znany był rycerstwu całemu jeszcze z czasów wojen północnych. W życiu codziennem anielskiej dobroci, w spotkaniu się z nieprzyjacielem siejący grozę i strach. Gdzie jeno pan Szymon się obrócił, tam rannych nie było, lecz trupy straszliwie pocięte, bez rąk i głów, lub rozpłatane na dwoje, zalegały pole. Ubolewał nad tem, że mimo chęci, żywić nikogo nie mógł. Cios każdy, przez niego zadany, śmiertelny był. Rycerstwo go nazywało „Łupiskórą" i on tak do onej nazwy przywykł, że ją uważać sam zaczął za swój rodowy przydomek.

Ród Kopycińskich z Mazowsza pochodził, lecz zamieszkawszy od stu lat prawie w Wielkiem Księstwie Litewskiem, zlitwinił się zupełnie. Pan Szymon zapomniał całkiem, że był dzieckiem korony. Twierdził, że zwał się Kopytyłło, ale dziad jego rozmiłowawszy się w pięknej Polce, Kopycińskim się przezwał. Prawdopodobnie sam tę bajeczkę utworzył, lecz z końcówką nazwiska swojego pogodzić się nie mógł. Wolał, by Łupiskórą go zwano, niż Kopycińskim. Towarzysze broni prześladowali go często pannami polskiemi, od których on, jak od złego ducha się bronił, mówiąc:

— Ta niech mnie Pan Jezus i Matka Jego Najświętsza w opiece ma swojej. Dziadek już kochał się w pannie takiej i co z tego wyszło?... Śliczne nazwisko swoje zatracił, a przezwał się tak, że wymówić nie sposób. Nie ma jak nasze Litwinki, co bez przymusu żadnego biorą mężów na siebie.

Dla prawości swojej, nabożności i rycerskości wielkiej, szanowany i lubiany był przez wszystkich. Przybyciem swojem do hetmańskiego obozu dodał jeszcze więcej ducha rycerskiej drużynie. Z myślą jutrzejszej przeprawy za Dniestr usnęli, a pół uchem i pół okiem zaledwie spali, czekając odgłosu trąb, któryby ich do dalszego pochodu zbudził.

Świt... Jeszcze chwila odpoczynku, bo brzask się opóźniał — i w różnych stronach obozu ozwała się pobudka. Sen krótki pokrzepił ciało, bo duch żadnego nie potrzebował pokrzepienia. Zerwało się rycerstwo, koło wozów i namiotów pańskich ciurowie się krzątali, a wszyscy przy pierwszem odemknięciu powiek. oczy zwrócili na Dniestr, który oprządł się mgłą poranną, jakby ze snu nie rozbudził się jeszcze. Po drugiem odezwaniu się trąb, obóz cały był w ruchu, trzeciego hasła czekano i wodzów rozkazów krótkich, by chorągwie, proporce i kopje zakołysały się w powietrzu i wojsko marszem bojowym ku brzegowi ruszyło rzeki.

Lecz hasła pożądanego nie było.

Z namiotu hetmana wielkiego wyszły rozkazy, by okopać się pod Buszą nad brzegiem Marachwy.

A Dniestr?... a ono wejście w kraj nieprzyjacielski? a ona ochota wojsk, by co chyżej zmierzyć się z siłami muzułmańskiemi?...

— Stać i czekać nieprzyjaciela — brzmiały rozkazy wodzów.

Przez szeregi przebiegł niezadowolenia szmer, lecz umilkł szybko, bo hetman wielki w otoczeniu rady przybocznej wyszedł z namiotu i dosiadłszy konia, ruszył dla obejrzenia miejsca na obozowisko przeznaczonego.

*) Postać historyczna, jak i wszystkie w tej powieści.

Pomimo doznanego zawodu, szemranie ucichło. Musiały ważne powody być, które zmieniły pierwotne postanowienie hetmana. Wprawdzie nic nie słyszano o zebraniu się rady wojennej; wprawdzie nic trwożącego nie przyniosły wysłane dla dostania języka podjazdy, bo żadnej wieści nie było o zbliżającej się potędze tureckiej, o siłach wojsk nieprzyjacielskich, o jakimś nawet czambuliku tatarskim, któryby Dniestr przeszedł i zapadł gdzieś w stepie. Za Dniestrem i przed Dniestrem spokojnie było i cicho, jakby ziemia ona nigdy krwią spłynąć nie miała, jakby gwar morderczego boju o skały jej nie miał się odbić, jęki konających powietrzem wzruszyć, kurzawa i dym błękitów osłonić. Lecz nie żołnierzom i pułkownikom sprawę rozsądzać i rozkazowi wielkiego hetmana choćby się biernie przeciwić. Rzecz wielkiej wagi zajść musiała, o której jeno pan Żółkiewski wiedział i chyba z łaski do wiadomości onej otoczenie swoje przypuścił. Jedno tylko pewnem było, że groźba żadna nie wisiała nad poruczonem mu wojskiem. W chwilach niebezpieczeństwa wielkiego, wódz naczelny odpowiedzialności wszelkiej na siebie brać nie chciał: wzywał „koło", zasięgał rady i większością głosów, takie a takie postanowienie zapadało.

Nic podobnego w danym wypadku nie było, nie groziło znikąd niebezpieczeństwo, snać doświadczony wódz wolał tu czekać wroga, przepłoszyć przez Dniestr przebierającego się, a zdziesiątkowszy siły jego, poprosić w tany do własnej chałupy i klęskę stanowczo zadać. Ta myśl uspokoiła podrażnione rozporządzeniem hetmana umysły, kilkanaście tysięcy rąk wzięło się do sypania okopów i stanął obóz obronny paszczami dział najeżony, jednym końcem o miasto, a drugim o brzeg Morachwy oparty. „Ptaszeczki" jeno Kopycińskiego, jakby na pikiecie, w pewnem oddaleniu stały. Pan Symeon musztrował ich codziennie i groza przejmowała patrzących, gdy okute rohatyny poruszały się w tych łapach niedźwiedzich, gdy drągi żelazne zafurczały w powietrzu, a stalowe kusz cięciwy jęknęły z gwizdem przeciągłym.

Krom niezadowolenia przelotnego nikt nawet w myśli swojej nie postawił pytania: dlaczego tak, a nie inaczej wypadły rozkazy hetmańskie? Jeden tylko kniaź Samuel Korecki zębami zgrzytnął, a spotkawszy Plichtę, dłonią po ramieniu uderzył i wskazując na obwarowania, rzekł z przekąsem:

— Jakże się waćpanu to okopisko podoba?

— Wolałbym za Dniestr iść, ale i tu niezgorzej Turczyna połechtać można — odpowiedział Plichta.

— Ano — tak, lecz i z ochotą wojska niezgorzej liczyćby się było.

— Nie zbraknie jej, a ferwor się wzmoże, gdy Skinder-baszy szereg pierwszy za Dniestrem się ukaże.

— Przepłoszym Turczyna — to wiem! a później do dom pójdziem, ostawiając Mohyłów łasce Opatrzności. Jeno Chocim im został, a i ten może...

— Tak nie będzie — ozwał się Plichta. — Rzeczpospolita zapewni panowanie swoje nad Wołoszą, a po otrzymanej wiktorji podyktuje Porcie warunki.

— Nam się jednak nie podoba pana Żółkiewskiego kunktatorstwo — odparł kniaź na to. — Wiktorję daje bój wstępny, szukanie wroga, nie czekanie go w obwarowanym okopie. Dobrze to w kojcu siedzieć, kiedy wątpienie jest jakie o pomyślności sprawy, ale tu i ferwor jest i ochota do bitki i siła przemożna.

— Nie znasz waść jeszcze mocy nieprzyjacielskich sił. — Plichta na to.

— Niech w dziesięćkroć wyjdą, to furji naszej nie zmogą — znam się na tem!.. Źle, gdy żołnierz nieprzyjaciela rachuje, bo mu łacno łydki zadrżeć mogą, a chwalić Boga, rachmistrzów takich niema wśród nas dzisia — i hetman na to patrzeć powinien. Lecz mu jakaś przyśniła się zmora zła — (a często w starości przywidzenia takie bywają).

— O czem to waszmość państwo gadają? — zaśpiewał nagle tuż za nimi Kopyciński.

— Ano — nic!... Za Dniestr sobie patrzym — odparł Korecki.

— A mnie coś się o zmorze zasłyszało.

— Nie dziw to, gdy się waćpan na ptaszków swoich napatrzysz — zaśmiał się kniaź.

— Co ja miałem z nimi, nim ich utemperowałem, to jednemu tylko Panu Bogu Wszechmogącemu wiadomo. A najgorzej to, że gdym temperował, to miarkować siły swoje musiałem, ażeby ich czasami na śmierć nie pobić. Ale Matka Boska Ostrobramska dopomogła i utemperował wszystkich, a jednemu tylko żebra połamałem.

— Dlaczego waćpan tak ciągniesz, jakbyś ciasto miał w gębie? — zadrwił Korecki.

— A dlaczego waćpan tak urywasz, jakbyś piasek miał w zębach? — odparł Kopyciński Koreckiemu.

— Gadaj z nim! — zaśmiał się kniaź.

— Na wszystko czasu stać — dokończył Litwin.

Umilkli, bo hetman w towarzystwie wodzów objeżdżający wznoszące się okopy, zbliżał się do nich. Na twarzy Żółkiewskiego jakiś się smutek rysował, oczy nie błyszczały ogniem takim, jak dnia wczorajszego, znać było, że coś dławił w głębi swej duszy, czynił przymus jakiś, który bolesnym grymasem na wargach mu czasami osiadał. Powstrzymał konia, dłoń o buławę wsparł i wzrok za Dniestr rzucił.

Żal jakiś odmalował się w tem spojrzeniu hetmańskiem, oczy mgłą zaszły, a z piersi tłumione wydobyło się westchnienie. Za Dniestrem było cicho; gdzieniegdzie żółtemi pasmami poprzerzynane, zielone kołysały się trawy; jastrząb duże koło zataczał, wreszcie po kilku zrobionych okręgach, zamachnął potężnemi skrzydły i dalej pomknął, aż zniknął w oddaleniu błękitnem.

— Widzisz, wasza miłość, jak ten jastrzębiec poleciał na spotkanie wojska Skinderbaszy — zwrócił się do hetmana Korecki, obserwujący także ten lot ptasi.

— Poszedłbym i ja tam, gdyby...

Nie dokończył i dalej pojechał.

To zdanie urwane zastanowiło Plichtę i Koreckiego.

— Gdyby — co?

— Jak waść sądzisz? — do pana Konstantego kniaź się zwrócił.

Plichta wzruszył ramionami.

— Gdyby hetmańska buława nie w rękach zgrzybiałego dziada spoczywała — ot co! — zaśmiał się Korecki.

— Ta co tam gadać rzeczy takie nieprzystojne — zaśpiewał Kopyciński! — Daj Panie Boże Wszechmogący, ażeby ta buława, która nijakiego wstydu dotąd Rzeczypospolitej naszej nie zrobiła, nie prędko jeszcze wypadła z ręki Żółkiewskiego. Zobaczycie waszmość państwo, jakie lanie damy Turkom niewiernym, ale im widać nie spieszno manatki swoje gubić.

Ale Turka jak nie było, tak nie było.

Codziennie rycerstwo wychodziło na okopy, codziennie komunik przechodził Dniestr i wracał, — żadnej wieści o nieprzyjacielu nie przynosił. Dni za dniami mijały w niecierpliwości i oczekiwaniu; złota jesień rozsypywała czary swoje i była tak ciepła, promienna, cicha, jakby na długo dobre wspomnienie w sercach ludzkich zostawić chciała. Codziennie w falach Dniestru kąpało się żołnierstwo, niejeden zuch na brzeg drugi przepłynął i afront brzydki niewidzianemu Skinderowi czynił. W Morachwie i Dniestrze pławiono konie, a wesołe piosnki żołnierskie rozlegały się wkoło; czasami zabrzmiało: Hej — ha! stepowe, czasami się ozwało: oj ta dana, oj dana!... jeno gdy „ptaszeczki" Kopycińskiego zakwiliły, to rumor wielki między ptactwem wśród oczeretów się robił, a konie pułkowe rżały. Dni były jasne, noce pogodne, a Dniestr jak wstęga błękitna, miłośnie opasywał brzeg macierzysty.

Aż oto dnia pewnego jakiś obłok na dalekim horyzoncie zamajaczył. Burza jakaś, której oddechu nikt jeszcze nie czuł, popędziła przed sobą chmurę ptactwa, olbrzymie stada kruków i wron opyliły powietrze i gnały nad Dniestr. Nie szumiał wichr, nie huczał grom, a przerażenie jakieś szło od tych stron dalekich i z ciszą ogromną posuwało się ku spokojnemu brzegowi rzeki. Na okopy hetman wyszedł, rycerstwo i wodze, tu i tam dało się słyszeć wołanie:

— Idą! idą!...

I oto równiny mołdawskie zalewać począł jakiś potok olbrzymi, milczący, barwny, groźny, nie przesięgnięty okiem. Pułki piesze i konne wysypywały się jak szarańcza idąca na żer i niezmierną zajmowały przestrzeń; błyszczące tołuby dział wysunęły się z tej masy zbitej i setką paszcz zwróciły się ku Dniestrowi. Ponad tem wszystkiem zachwiały się garby wielbłądów i pląsać zaczęły jedwabne chorągwie o półksiężycach złotych. Wielkie koła tarcz, jak słońca, zamigotały w przerywanych odstępach, krzywe miecze zabłysły i długie arabskie strzelby, a wszystko to lśniło od purpury, zieleni i złota i brzęczeć i chrzęszczeć i grzmieć zaczęło.

— Turcy! — dało się tu i tam słyszeć.

Nikt z rycerstwa tak wielkiej jeszcze potęgi nie widział, nikt, krom Lisowczyków i kniazia Koreckiego nie ucierał się z wojskami padyszacha. Serca rycerskie zaczęły bić niepohamowaną żądzą boju i trzeba było wielkiej powagi wodzów, by ten lub ów nie wyzwał muzułmanina jakiego — na próbę.

A potok płynął i płynął i jednem ramieniem już brzegu Dniestru dosięgnął.

Nagle stał się dziw.

Pułki jezdnych rozstąpiły się, jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej, kotły i bębny zawarczały, sucho huknęły armaty, dzika muzyka się ozwała, a z tego stutysięcznego rojowiska ludzi, koni i garbów wielbłądzich, wypłynął jeden z onych okrętów pustyni, biały jak śnieg, przewyższający ogromem i pięknością brać swoją, okryty kapą szkarłatną o frędzlach złotych, drogimi wyszywaną kamieniami, a na nim ukazał się mąż rosły, w szacie złocistej, w seledynowym zawoju na głowie, ozdobnym półksiężycem z gwiazd brylantowych. Guzy spodniego kaftana, pas i szabla krzywa, sadzone były klejnotami a gdy się ku słońcu obrócił, to świecił niby obraz cudowny — niby zjaw jakiś niezwykły. Brodę rudą, kręconą miał, w ręku buławę, jakby z tęczy

rzeźbioną, a za pasem dwa noże o głowicach złoconych i pochwach klejnotnych.

— Skinder-basza! — ozwał się kniaź Korecki.

— Znajomy waćpana — rzucił hetman.

— Wasza miłość raczyłeś mnie z nim zapoznać— odparł kniaź.

Było to przypomnienie hetmanowi, że z powodu odwołania przez niego ludu podczas wołoskiej wyprawy kniazia. Korecki przegrał batalię i stał się jeńcem Skinder-baszy.

— Znajomość ta przydała się wam, kniaziu — odpowiedział z powagą Żółkiewski — bo jesteście pod wodzą prawowitego hetmana, miasto hetmanić samowolnie.

— Wspierałem Mohyłów.

— Wbrew woli Rzeczypospolitej.

— Pokrewni mi.

— Bliższa ojczyzna!

Kniaź umilkł — Żółkiewski patrzał na Dniestr.

Tymczasem Skinder-basza objechał wojska i widocznie rad był, bo głową skinął, tęczą przeszył powietrze — i wnet złamały się szeregi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pracowitość i rozumne szafowanie groszem.

Tak w Poznańskiem, jak i w Kongresówce, posady rządowe zajmowali zaborcy. Polacy więc siłą faktu, musieli rzucać się na rzemiosło i handel. I tak: w Pozańskiem mamy 90% sklepów i przedsiębiorstw, znajdujących się w rękach polskich, a rolnictwo prowadzone przez ludzi większością dość wykształconych, stoi nisko. W Kongresówce zaś większość Polaków pracowała w hutach, fabrykach, gdyż mieli tam najwyższe zyski. Olbrzymi konsument Rosja, miała przemysł słaby, zapotrzebowanie było wielkie, więc rósł dobrobyt i cena rąk roboczych. Inaczej było w Małopolsce. Rząd austrjacki nie chcąc stwarzać konkurenta dla swego przemysłu, nie pozwalał na utworzenie przemysłu w Galicji i zasypywał nas tanią tandetą swych fabryk, pozwalał zaś na zajmowanie posad urzędniczych. Posady te nieraz licho płacone, dawały jednak gwarancję spokojnej starości, w postaci emerytury, dawały przy średnim wysiłku, minimum dobrobytu. Tego zaś nie dawał „fach", będący przez to w głębokiej pogardzie. Szczytem marzeń każdej rodziny były stanowiska urzędników, nauczycieli, kolejowe, a koroną stanowisko kapłana. W ten sposób rządy austrjackie zabiły w Polakach wiarę we własne siły, zmusiły go do szukania oparcia na rządzie i w ten sposób powstał nadmiar proletarjatu urzędniczego, a rękodzieła natomiast zasilane tylko nieukami marniały, powstały zastępy „partaczy", a uczciwy i solidny rzemieślnik stał się unikatem. Handel przechodził w ręce obce. Jedynie w Poznańskiem, gdzie społeczeństwo więcej oświecone stanęło do pracy zwartym murem, było pod tym względem nieco inaczej.

Dziś sytuacja poprawia się nieco, są starania o poprawę rzemiosła, zachęca się do handlu, ale mimo wszystko większością, rozbijają się dobre chęci jednostek o brak zamiłowania do pracy, o brak poczucia łączności i o ten jakiś tępy egoizm oraz zasklepienie się w swych własnych interesach.

Do wszystkiego zła przyczynia się jeszcze obecny kryzys. Dziś jedynym pracodawcą pewnym i wypłacalnym okazuje się Państwo. Ugruntowuje się więc owa dawniejsza pogarda i ogólna sprawność wielce na tem cierpi. Tam bowiem tylko może być mowa o poprawie stosunków ekonomicznych, gdzie każda praca ma należyte uznanie i pełne zrozumienie, gdzie właściwi ludzie, zajmują właściwe stanowiska.

Nieposzanowanie grosza, nieekonomiczne wydawanie go, należy do wielkich wad narodu. Trzeba to spartańskiego hartu, aby móc opanować chęć nieproduktywnego kupna. Odnosi się to przedewszystkiem do naszych kobiet-Polek. Trudno, bardzo trudno ubierać się w perkaliki, sztuczne jedwabie, gdy zagranica zarzuca nas rzeczami ślicznemi, nieraz i drogiemi. Ale z tej taniej nawet przyjemności trzeba koniecznie zrezygnować, chcąc, aby pieniądz nasz nie płynął rzeką zagranicę. Gdyby przemysł nasz stał wysoko, gdybyśmy posiadali ogromne kopalnie złota, platyny, rtęci, wtedy możnaby sobie śmiało na coś podobnego pozwolić. My jednak jesteśmy krajem prawie w zupełności rolniczym. Musimy więc starać się koniecznie, abyśmy wystarczali sami sobie. Jest to przykazanie, które mieć musimy stale w sercu, abyśmy się nie stali zabójcami swego kraju. Węgiel nasz nie jest pierwszorzędny, aby go wywozić w wielkiej ilości. Nafty mamy zamało, aby nią zalać rynki zagraniczne, zboża naszego nikt nie szuka, bo zagranicą tańsze jak u nas, a nierogaciznę radzibyśmy wywieźć w wielkiej ilości, bo może by w kraju było lepiej wtedy, ale cóż, kiedy tej czworonożnej ani dwunożnej nikt kupić nie chce. Musimy niektóre rzeczy, jak: bawełnę, chemikalja, lekarstwa, maszyny i wiele surowców sprowadzać z zagranicy. Dość pieniędzy idzie na nie.

Nie wolno więc nam jeszcze obciążać kraju rozmaitemi głupstwami, bez których zupełnie obejść się można. Niechno się znajdzie w każdej wiosce, w każdem mieście i miasteczku garść mądrych matek i córek! Niech sobie powiedzą, że nie będą przykładać ręki do zguby Polski! Niech kupują i noszą tylko „wyrób krajowy", niech się zrzekną jedwabnych (tylko na raz do ubrania) pończoch, zagranicznych bucików, nici, igieł, robótek i t. p.! Wtedy i nasze fabryki w ruch pójdą i jakoś pchniemy tryb życia wewnętrznego na właściwe tory!

Marja Waller.



Prowadź mnie Marjo.

Prowadź mnie, Marjo, po życia torze,
Prowadź Matuchno jedyna...
Na Twem ramieniu głowę ułożę
Prowadź mnie, Marjo, jak syna!
A kiedy ciernie poranią nogi,
Weź mnie na ręce, Jedyna...

Ból mój uśmierzy Twój uśmiech drogi,
Prowadź mnie, Marjo, jak syna...
Prowadź i kieruj... Po życia torze
Z Tobą iść pragnę. o Droga!
Przy Twojem sercu głowę ułożę
I z Tobą dojdę — do Boga!...

J. B.

AVE MARIA!



Piękny to był zwyczaj, który jeszcze i dziś się zachował w niektórych naszych wioskach, że gdy na wieżyczce kościelnej odezwał się głos sygnaturki na Ave Maria, wszelka praca ustawała, obnażały się głowy spracowanych wieśniaków, a z ust ich płynęło pobożne westchnienie „Anioł Pański“ ku Tej, która była, jest i będzie Orędowniczką każdego grzesznego człowieka. Bez względu na porę dnia, czy to był wczesny ranek, południe, czy wieczór, zaprzestawali ludzie wszelakiej pracy, aby ukorzyć się przed Bożą Rodzicielką i prosić Ją o nowe łaski na rozpoczynający się dzień, lub dziękować Jej za dobrodziejstwa, w ciągu dnia uzyskane.

Piękny to był zwyczaj, lecz niestety zanika on coraz bardziej. Jakiś fałszywy wstyd powstrzymuje rękę od zdjęcia kapelusza; ten i ów, choć nie zatracił jeszcze wrodzonej mu pobożności, obawia się ukorzyć przed Bożą Rodzicielką, aby towarzysze jego nie śmiali się zeń i nie nazywali go pobożnisiem lub bigotem. Myślałby ktoś, że niema na świecie takiego durnia, któryby się ośmielił wyśmiewać cudzą pobożność. Niestety, jest takich coraz więcej! Są tacy, którzy zatracili własną wiarę, więc też i cudzej uszanować nie umią. Często do wyśmiewania cudzych przekonań popycha ich zazdrość, że ktoś inny może jeszcze być pobożnym człowiekiem, kiedy oni już dawno swą pobożność utracili. A utracili ją może niezawsze z winy własnej. Oto niejeden, poszedłszy do wojska, wdał się z kolegami, którzy o wszystkiem innem dzień cały myśleli, a tylko nie o Bogu. Ukląkł może z początku w koszarach przy twardem swem łożu żołnierskiem, aby zmówić poranny pacierz. Zamiast z uznaniem, spotkał się z drwinami kolegów i surową naganą przełożonego,

aby o „głupstwach“ nie myślał, a raczej wziął się do robienia porządków koło siebie i swym lokalu. I tak powoli skądinąd zacny chłopak zatracał powoli przywiązanie do modlitwy, aby z czasem stać się podobnym swym towarzyszom. A kiedy powrócił do swej wioski rodzinnej, nie starał się nietylko wyrugować oziębłości z serca swego, ale owszem szerzył ją jeszcze dalej, popisując się niejednokrotnie pogardą dla modlitwy.

A ileż to dziewcząt, które w pogoni za chlebem dostały się w służbę u innowierców. Te same powoli zatracają miłość modlitwy i własną oziębłością zarażają swe towarzyszki po powrocie do wsi rodzinnej.

Coraz mniej, niestety, obnaża się głów na głos dzwonka, zwiastującego Ave Maria, coraz mniej chyli się skroni, aby oddać cześć świętej Panience. Dlatego też widok modlących się rano, w południe, czy wieczór i odmawiających owo przecudne pozdrowienie „Anioł Pański“, musi do głębi serca wzruszać każdego inteligentnego człowieka. I na szczęście jeszcze nierzadko zdarza się widzieć i możnego pana, i urzędnika, i biednego wieśniaka, szepczących pobożnymi usty ową cudowną modlitwę: „Anioł Pański“

Na obrazku naszym mamy taki cudowny widok. Oto na głos wiejskiej sygnaturki ojciec i syn, obaj pasterze owieczek, obnażyli swe głowy i szepcą cicho modlitwę. I zapewne Jezus i święta Jego Rodzicielka modlitwy tej słuchają z całą przyjemnością i wątpić nie można, że spełnią ich prośby, jakie do tronu Przedwiecznego zanoszą.

A stado owieczek, jakby rozumiało wielkie znaczenie modlitwy, zda się wtórować prośbom swych opiekunów. Oto nierozumne zwierzątka popodnosiły główki ku górze, zaprzestały skubania trawy i niejako milczeniem składają hołd Przenajśw. Panience.



Maciek Bzdura gada:

Jakie to scęście okrutecne, zem ja się nie urodził ani jegomościa, ani prefesurem, ani panem organistą, ani zadnem inksem zołmirzem ino Maćkiem Bzdurą. Nie przezywa mnie nikt ani kapralem, ani sierziantem, ani kapiłtanem, ale woła na mnie Maciek Bzdura, jak wołali na moją nieboscke matsię: Kaśka Bzdurzonka.

Jegomość nas naprzykład, jak mi to raz powiedział w tajemnicy prefesur, nazywali się od maleńkości Józef Nalipski. Jak byli jesce tacy maleńcy i jak jem jesce z tyłu portcąt wyzirała chustecka, to matsia ich i wszyćkie somsiadki powiadały, ze to jest Józuś od starego Nalipskiego. Jak podrośli i grali w guziki z chłopakami, to i wtenczas nazywali się Józek Nalipscak. A nawet gdy byli skubantem i z dzieuchami po plantach chodzili, to kuzden mówił, ze tam a tam sed Józef Nalipski. Dopiero jak ich biskup pokropił święconą wodą i zrobił jegomością, to przestali się nazywać Józusiem, Józkiem, Józefem, a stali się najpirw wikarem, potem proboscem, a równocešnie jegomością. Tak jest z prefesurem, tak za panem organistą i tak z kuzdym zołmirzem.

A i zrobotą jest nie inacej! Ja robię, co mi się chce i kiedy mi się chce. Niechby tak popróbowali jegomość! Zarazby ich Walek Podkówka osmarował do biskupa, zeby się przed nim ani święconą wodą nie obmyli. Weźmy np. taki Wielki Post jaze do Świętej Trójcy: codzień nazłazi się babów do świętego kościółka i od samego rana trzymają jegomości w konfesjonale, jak w jakiem hareście. A do tego jesce kuzda śmierdzi inacej. Ta se pełechy posmarowała masłem, aby jej do ślipiów nie lazły, inna zaperfuniła się od góry, a inksa od dołu. I te wszyćkie smrodliwości pchają się, jak nieprzymirzając te muchy, jegomości do nosa. A jegomość, nie ino musą wąchać te wszyćkie smrodliwości, ale jesce słuchać rozmaitych głupstwów, jakie baby przy świętej spowiedzi pletą. Trzeba mieć anielską cierpliwość, aby jednej baby i drugiej lasicą nie przejechać.

Skońcy się spowiadacka, idą se jegomość do chałpy, aby nieco kościska wyprostować, a tu mas, zajezdza furka i chybaj bracie do chorego! To ci dopiro przyjemność być jegomością.

Abo weźmy takiego prefesura! Na niebie słonko śmieje się do ludzi, ze jaze hej, ptaski śpiwają, a przyroda cała raduje się kieby dzieucha, kiedy jej chłopak na odpuście serce z piernika ochfiaruje. Takby się posło gdzieś w pola i lasy, takby się odetchnęło tą świezyzną, a tu bidny prefesurzyna musi siedzieć z cudzemi brzdącami i wywąchać wszyćkie wcorajse zimniaki, jakie się przerabiają w zołądkach jego „ukochanych“ maleństw.

Nie lepiej jest i z panem organistą. Oto przypuśćmy, ze jego wielebna magnifika wstała z lezyska lewą nogą. A wiadomo, ze jak cłek lewą nogą z łózka wstanie, to nima od niego gorsiejsej choroby. To człowiek, a cóz dopiero baba, a jesce do tego organiścina, i nima pono wtencas bidniejsego stworzenia, jak pan organista. I takiemu bidakowi kazą w takim stanie na chórze nietylko krakowiaki wygrywać, ale i śpiwać wesołe kolendy. Śpiwa ci, biedacysko, śpiwa, ale zeby tak mógł, toby rycał, jak koń malowany!

Abo taki bidny zołmirz! Przypuśćmy, ze z prawej strony jego idzie przyścipna dziopa. Chłopacysko z taką radością choć jej widokiem rozradowałby oko, a tu temcasem pan kapral, abo inksy oficer sam wrazi w nią ślipia, a do bidnego zołmirza krzycy: „Bacność! W lewo patrz!“ I bądź tu zołmirzem. Abo kiedyindziej, gdy to na drzewach rybki śpiwają, w wodach plusce się tysiące słowików, gdy zar z nieba bije tak wielgaśny, jak z pijącej gęby po dzięsiątem kielisku, to takie bidne zołmirzysko posłoby se do rzecki, abo do stawu i wykąpało swe grzysne cielsko, a tu temcasem pan pół-kownik (zeby to choć cały-kownik) kaze się ubrać na glanc, kaze wziąć strzelbę do garści, torbę na plecy i iść bronić ojcyzny za Mendlową górkę. I bądź tu, bracie, zołmirzem, kiedy ci nie wolno robić tego, co chces, ino musis to robić, co musis.

A ja, Maciek Bzdura, jestem zawse Maciek Bzdura. Ani mi nikt nie wymyśla od jegomości, ani od prefesurów, ani od organistów, ale zawse i wszędzie jestem Maćkiem Bzdurą, i robię, co mi się żywnie podoba. Chcę se lydz sam, cy z kiem, to se legnę, chcę se śpiwać, to śpiwom, chce se pisknąć, to pisknę, chcę pójść za dzieuchami, to pójdę, a tego ani jegomości, ani prefesurowi, ani zołmirzowi, ani zadnemu inksemu organiście nie wolno i amen.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Brazylja VI.

Narzekamy nieraz na nasze drogi i nazywamy je złośliwie polskimi drogami, co ma oznaczać, że jest to droga, od której gorszej już niema na świecie. Wprawdzie drogi nasze, szczególniej w byłym



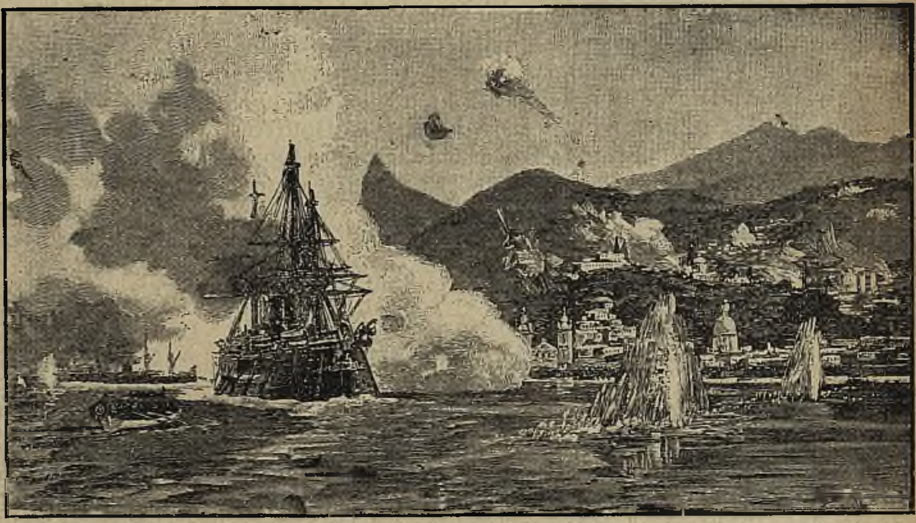
Podróż dyliżansem w Brazylji.

zaborze rosyjskim, a po części i w Małopolsce pozostawiają wiele do życzenia, ale też nic dziwnego, bo rządy zaborcze potrafiły tylko ciągnąć z nas pieniądze, nie dając nam nic za to, albo bardzo mało. Toteż niejednokrotnie na przebycie mili drogi wozem trzeba było dwie i trzy godziny czasu, tak, że komu się spieszyło, wolał iść pieszo, aniżeli jechać choćby nawet lekkim wózkiem. Stan ten poprawia się z każdym rokiem, ale rząd nasz ma tyle do zrobienia, że nie może odrazu wszystkiemu podołać.

Ale jeżeli narzekamy na stan dróg naszych, to pocieszmy się, że w innych krajach są jeszcze gorsze drogi. Z państw europejskich stoi za nami w tyle może tylko jedna Rosja, ale w innych częściach świata państw takich jest znaczna liczba. Do nich należy także Brazylja. Widzimy na naszym pierwszym obrazku taką brazylijską drogę. Prowadzi ona przez rzekę Aguapey, dość głęboką, jak to widać po zanurzonych w wodzie koniach. Oczywiście i dalsza droga nie jest o wiele lepsza, gdyż do niewielkiego dyliżansu zaprzężono sześć koni, które mają dość pracy, zanim przejadą kawał drogi. Można sobie wyobrazić, do jakiego stopnia drogi tamtejsze są uciążliwe, jeżeli zwrócimy uwagę na fakt, że przed takim dyliżansem, przewożącym podróżnych za opłatą, jedzie zawsze na koniu jeden człowiek, który ma badać, w którem miejscu i do jakiego stopnia przejazd jest możliwy. Boć drogę przecina niejedna rzeka, ale tu napotyka się mały strumyk, tam większy potok, aż się stanie nad dużą rzeką, przez którą przejazd jest uciążliwy, a często i niebezpieczny. A jeszcze rzeki to przeszkoda może najmniejsza, ale na drodze takiej nietrudno spotkać wyrwę, wyżłobioną przez wodę lub bagnisko, przez które przeprawić się nie sposób. W jednym z poprzednich numerów „Roli" zaznaczyliśmy, że południowa Ameryka jest krainą ciągłych rewolucyj. Niema niemal roku, a omal miesiąca, aby w któremś z tamtejszych państw nie wybuchła rewolucja. Do takich krain należy również Brazylja. Pamiętają dobrze zapewne nasi Czytelnicy o zeszłorocznej tamtejszej rewolucji. Wybuchła ona przeciw ówczesnemu tamtejszemu rządowi, obaliła go, a przewódcy jej ujęli władzę w swoje ręce. Upłynęło zaledwie kilka miesięcy, a w kwietniu bieżącego roku nastąpił znów bunt wojska w San Paolo. Bunt ten nie był jednak dobrze zorganizowany, to też rząd zdołał go stłumić w ciągu jednego dnia. Całe szczęście, że rewolucje południowo-amerykańskie nie są zbyt krwawe, gdyż w przeciwnym razie w krajach tych i tak rzadko zaludnionych, brakłoby zupełnie ludności. Nie znaczy to jednak, aby ofiarą ich nie było kilka setek istnień ludzkich.

Na naszym drugim obrazku widzimy jedną z takich walk w Brazylji. Jest to bombardowanie stolicy państwa Rio Janeiro przez flotę nieprzyjacielską w 1893 roku. Na pierwszym planie widzimy okręt, bombardujący miasto, około którego padają nawzajem pociski z dział nadbrzeżnych. W górze przelatują szrapnele, które rozsiewają śmierć i zniszczenie.

Od dnia 7 września 1822 roku Brazylja była nawet cesarstwem. W dniu tym Don Pedro, cesarz brazylijski, nadał państwu konstytucję, przyczem utrzymała dobre stosunki z Portugalją, do której poprzednio należała. Wojna z Argentyną w 1825 roku zakończyła się oderwaniem Urugwaju i przyznaniem mu niepodległości. Druga wojna z Argentyną (1851—2) i wojna z Paragwajem (1870) zakończyła się zwycięstwem Brazylji. Wiek dziewiętnasty wypełniają w dziejach Brazylji ustawiczne walki wewnętrzne, głównie między monarchistami a republikanami, które ostatecznie uwieńczyły dążenia tych ostatnich i od 15 listopada 1889 Brazylja stała się republiką związkową taką, jaką jest po dzień dzisiejszy.



Bombardowanie Rio de Janeiro w 1893 r.

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ XIX.

Każdy przyzna, że pojawienie się strasznego drapieżca na wyspie Finy musiało w najwyższym stopniu zaniepokoić nieszczęsnych ludzi, których srogi los rzucił na to wybrzeże. Godfrey uznał, w czem może nie miał słuszności, że o wypadku tym należy zawiadomić Tarteletta.

— Niedźwiedź! — wykrzyknął profesor — rozglądając się trwożnie, jakgdyby drzewo Wilhelma było już otoczone całą gromadą tych drapieżców. — Skąd znowu niedźwiedź? Wszak dotąd nie było na naszej wyspie niedźwiedzi! a skoro pojawił się jeden, to jest ich też więcej... Kto wie, może nawet całe gromady innych zwierząt drapieżnych, lwów, jaguarów, panter, hyjen!...

Profesor bujną swą wyobraźnią widział już na wyspie całą menażerję, lecz Godfrey go uspokoił, że niema powodu do przesadnych obaw. To pewna, że na własne oczy widział niedźwiedzia, z czego jednak nie wynika, by żyły tu także inne drapieżne zwierzęta. Wogóle zastanawiał się nad dziwnym faktem, że w ciągu tak długiego już pobytu na wyspie, nie napotkał dotychczas żadnego dzikiego zwierzęcia. Na pytanie to nie znajdował odpowiedzi i trudno zaiste było na nie odpowiedzieć. Stąd jednak wysnuwać wniosek, że teraz roi się od drapieżców na łąkach i po lasach, byłoby niedorzecznością. Inna rzecz, że należy odtąd być ostrożnym i nie wychodzić na dalsze wędrówki bez broni.

Nieszczęsny Tartelett! Od tego dnia rozpoczęło się dla niego życie pełne lęku i trwogi i niepokoju i wstrząśnień, nie dających mu chwili spokoju i budzących w nim tęsknotę bezgraniczną za utraconą ojczyzną.

— Nie! — powtarzał do siebie raz po raz. — Nie! Jeśli w dodatku są tu takie dzikie bestje, to ja już dłużej nie wytrzymam... Żądam stanowczo, by mnie stąd zabrano!... Nie chcę tu dłużej przebywać i koniec!..

Ba, od chęci do wykonania było tym razem bardzo daleko!

Godfrey i dwaj jego towarzysze musieli się jednak mieć odtąd na baczności. Nietylko w lesie i na łące, lecz nawet w obrębie grupy drzew-olbrzymów mogli być narażeni na niebezpieczeństwo. Przedsięwzięto przeto wszelkie środki ostrożności, celem zabezpieczenia się na wypadek napaści ze strony dzikich zwierząt. Drzwi domostwa umocniono, by mogły się oprzeć naporowi potężnych łap, a Godfrey suszył sobie głowę, jakby także dla zwierząt zdobyć bezpieczne schronienie. Nie było to rzeczą łatwą znaleźć pomieszczenie dla tak dużego stada, więc na razie poprzestano na zamykaniu ich na noc za ogrodzeniem, niedość jednak silnem i wysokiem, by do niego nie mógł wtargnąć niedźwiedź czy hyjena.

Wobec tego, że mimo sprzeciwiania się Godfreya, Karefinotu uparł się spędzać noce na dworze i pełnić straż, można było mieć nadzieję, że nie zostaną napadnięci znienacka. Oczywista, że Karefinotu narażał się na niebezpieczeństwo, ale dziki, pojąwszy, że w ten sposób wyświadcza swym wybawcom przysługę, absolutnie nie dał się odwieść od swego postanowienia.

Minął tydzień, a w pobliżu domostwa nie pojawił się żaden z niebezpiecznych gości, którzy tak fatalnie zakłócili ciężki wprawdzie, lecz spokojny żywot rozbitków. Mimo to Godfrey tylko w koniecznych wypadkach oddalał się od domostwa, bacząc na stadko zwierząt, pasących się na łące. Najczęściej obowiązki strażnika pełnił jednak Karefinotu. Nigdy nie zabierał ze sobą strzelby, z którą zdaje się nie mógł się jakoś zaprzyjaźnić, natomiast przy pasie jego zwisał nóż myśliwski i ciężki topór.

Tak uzbrojony, Murzyn mógł od biedy zmierzyć się nawet z tygrysem, czy innym drapieżcą. Gdy jednak ani niedźwiedź, ani inny jego pobratymiec nie pokazał się od owego spotkania w lesie, Godfrey stopniowo odzyskiwał spokój i poczucie bezpieczeństwa. Znów zaczął wychodzić na polowania, aczkolwiek nie zapuszczając się tak daleko, jak poprzednio, w głąb wyspy. Jeśli Karefinotu mu towarzyszył, nieszczęsny Tartelett nie byłby się odważył wyjść z domostwa, gdyby nawet chodziło o rzecz tak ważną, jak udzielanie lekcyj tańców! O ile Godfrey sam wychodził na polowanie, profesor miał towarzysza, nad którego wykształceniem usilnie pracował.

Tak! Tartelett postanowił wyuczyć Murzyna bodaj najpotrzebniejszych słów angielskich, lecz przekonawszy się, że jego narzędzia mowy absolutnie zadaniu temu nie podołają, zmienił swój plan pierwotny.

— Skoro nie mogę być jego profesorem — oświadczył nie bez żalu Godfreyowi — to muszę zostać jego uczniem!

Jakoż profesor tańców i pięknych manier postanowił wyuczyć się narzecza dzikiego człowieka.

Mimo perswazyj Godfreya, że znajomość tej mowy na nic mu się nie przyda, Tartelett nie pozwolił się odwieść od swego postanowienia. Posługując się wszelkiemi sposobami, dał wreszcie Murzynowi do zrozumienia, że chce się dowiedzieć, jak w jego języku nazywają się rozmaite przedmioty. Okazało się, że uczeń Karefinota posiada wybitne zdolności, gdyż po upływie dwóch tygodni wyuczył się aż 15 słów! Wiedział, że ogień w języku dzikiego zwie się birti, niebo gradu, morze mewina, drzewo dura i t. d. Z tej swojej uczoności był Tartelett niemniej dumny, jakgdyby na konkursie międzynarodowym dostał był pierwszą nagrodę za znajomość narzeczy polinezyjskich. Przez wdzięczność dla swego mistrza, Tartelett postanowił wyuczyć go pięknych form salonowych, oraz prawdziwych zasad tańców świata cywilizowanego.

Godfrey pokładał się od śmiechu, asystując przy tych lekcjach. Ostatecznie był to sposób spędzenia czasu, nie gorszy od innego, więc w niedzielę, nie mając nic innego do roboty, podziwiał zdolności pedagogiczne sławnego mistrza tańców, profesora Tarteletta.

Prawdziwie, warto się było przyglądać! Nieszczęsny Karefinotu pocił się i mordował, by swe potężne członki poruszać zgodnie z wymogami estetyki. Był wcale pojętny i pełen dobrej woli, czyż jednak mógł zmienić budowę swego ciała? Jak wszyscy Murzyni, miał zapadłe ramiona, wystający brzuch, pałąkowate nogi i stopy zwrócone ku sobie. Przy takich warunkach zewnętrznych, nawet mistrz Tartelett nie mógł się spodziewać wielkich wyników.

Mimo to zacny profesor nie pozwolił się zniechęcić i z prawdziwą zaciekłością spełniał swój obowiązek pedagoga. Karefinotu znów, nie bacząc na męki, jakie musiał znosić, okazywał dobre chęci, a nawet

pewien zapał do nauki. Należy to podnieść z uznaniem, gdyż trudno sobie wyobrazić, ile go trudu kosztowało ustawienie nóg w pierwszej pozycji, a cóż



Karefinotu wykonywał najdziksze skoki.

dopiero zmiany pierwszej na drugą, a drugiej na trzecią!

— Ależ, ośle jakiś, spojrz tylko, jak ja to robię! — zachęcał mistrz Tartelett, popisując się przed Murzynem gibkością swych ruchów. — Nogi rozstawić! Koniec prawej stopy do pięty lewej! A rozsuń-no trochę kolana, bałwanie jakiś! Ramiona wyprostować, głowa do góry... Cóż to za niezdara, wielki Boże!

— Ależ pan wymaga niemożliwości! — wmięszał się Godfrey.

— Dla człowieka inteligentnego nic nie jest niemożliwem! — raz po raz tłómaczył Tartelett.

— Budowa jego ciała nie nadaje się do tego rodzaju gimnastyki! — dowodził Godfrey, szczerze współczując Murzynowi, który w pocie czoła zdobywał ruchy salonowca.

— Na co mu ruchy salonowe, gdy nie będzie przecież miał sposobności przebywania w salonach!

— Czy pan może twierdzić tak stanowczo? — odrzucił Tartelett. — Nikt nie wie, co go czeka w przyszłości! Czyż my mogliśmy przypuszczać, że z salonów pałacu Kolderup dostaniemy się na odludną wyspę i zostaniemy Robinzonami?

Tą głęboką uwagą Tartelett zakończył dyskusję, poczem ze swych skrzypiec zaczął wydobywać krótkie, przeszywające dźwięki, w szał zachwytu wprawiając dzikiego. Teraz nie czekał już na zachętę ze strony profesora! Nie troszcząc się o zasady sztuki tańców, Karefinotu skakał, wyginał sobie członki, krygował się i wykonywał łamańce, że Tartelett nie mógł od niego oderwać oczu, w których malował się szczery podziw. Przyglądając się tym naturalnym ruchom dzikiego mieszkańca Polinezji, zacny profesor zadawał sobie w duszy pytanie, czy nie są one naturalniejsze, a przeto i ładniejsze od sztucznych kroków tanecznych!

Pozostawmy jednak profesora wraz z jego filozoficznemi rozmyślaniami, a wróćmy do spraw praktyczniejszych i chwilowo ważniejszych!

Otóż na dalszych swych wędrówkach, czy to samotnych, czy w towarzystwie Karefinota, Godfrey ani raz nie spotkał żadnego dzikiego zwierzęcia. Ani nawet śladów żadnego drapieżca nie zdołali odkryć, pomimo, że bardzo uważnie zbadali obydwaj brzegi strumienia, w którym zwierzęta te musiałyby przecież gasić pragnienie! Nigdy też porą nocną nie doszło do ich uszu żadne podejrzane wycie, ani ryki! Tak samo zwierzęta domowe nie zdradzały lęku ni zaniepokojenia, jakie w nich budzi sąsiedztwo niebezpieczne!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zakład.

(Humoreska).

Jesienną porą przed karczmą, ponieważ w mieszkaniu było gorąco, siedziało kilku gospodarzy, popijając gorzałkę i rozmawiając o tem i owem. Żyd karczmarz, stary Berek, kręcił się wedle nich, wtrącając gdzieniegdzie słówko i zachęcając do picia. U samego progu karczmy bawiło się dwoje bachorów z wielkim psem podwórzowym, używając go za konia, siadając mu na grzbiet, na co on, zdawało się, nie zważał, gdyż był wpatrzony w drogę, ciągnącą się obok karczmy, na której ukazał się młody człowiek na koniu. Pies się poruszył i warknął. Stary Berek odwrócił się do nieznajomego, który tymczasem podjechał do karczmy, zeskoczył lekko z konia i zwrócił się do żyda:

— Czy ty jesteś gospodarzem?

— Tak, ja jestem gospodarzem — odrzekł żyd, spoglądając z ukosa na nieznajomego, który go tak z góry potraktował.

— Czy mogę dostać owsa dla mego konia? — zapytał.

— Dlaczego nie, zaraz może pan dostać — odrzekł Berek i zaszwargotał do kilkunastoletniego żydziaka, który ukazał się we drzwiach karczmy i zaraz się cofnął, a po chwili wyszedł, niosąc owies, który podstawił koniowi.

— Niech pan pozwoli do mieszkania — odezwał się Berek do siedzącego.

— Dziękuję — odparł zadumany — odpocznę chwilkę tutaj, i zaraz jadę dalej.

— Czego panu tak pilno? — zapytał zdziwiony Berek tak prędkim odjazdem, a nie mogąc się napatrzeć pięknemu koniowi, zawołał pospiesznie:

— Jakby pan sprzedał tego konia, to ja kupiłbym go.

— Nie mam konia na sprzedanie — odburknął nieznajomy.

— Dlaczego nie, jabym dobrze zapłacił za niego.

— Nie mam na sprzedaż konia — powtórzył zniecierpliwiony, wstając z ławki i zbliżył się do konia — zresztą on mię drogo kosztuje.

— Na co pan to mówi — rzekł żyd, zapalając się — ja panu zapłacę, ile pan chce?

— Ile ja chcę? — powtórzył zapytanie właściciel konia, kiełznając go z uśmiechem — ile dasz?

— No, ile ja dam? dam stopięćdziesiąt złotych — zawołał Berek, ciesząc się w duszy, że już będzie posiadał konia, lecz widząc, że pan już siada i rusza koniem, krzyknął:

— Dam dwieście, dwieście pięćdziesiąt...

Młody człowiek wstrzymał konia, i nagle błysnęła mu jakaś myśl, na którą rzekł z uśmiechem zsiadając na ziemię:

— Widać, że jesteś biedny, albo się nie znasz na koniach, ten koń wart jest najmniej 800 złotych, ale słuchaj, jeśli chcesz go kupić, sprzedam ci go nie za pieniądze.

Berkowi aż się w oczach zaświeciło.

...Lecz gdy otrzymasz 25 rózg w plecy, wtenczas koń przejdzie na twoją własność.

— Aj, aj! — zakrzyknął Berek tak, że się gospodarze pozrywali od stołu i zbliżyli się do Berka, na którym skóra cierpła. — Aj, na co aże 25 rózg, pan chyba żartuje, aj dwadzieścia pięć rózg!

— Tak — rzekł nieznajomy, wsiadając na konia. — Tylko za 25 rózg sprzedam tego konia.

— Niech się pan zatrzyma — zawołał żyd, wstrzymując go. — Ja się zgodzę na 25 rózg, aj!...

Na samo wspomnienie aż mu skóra cierpła.

— Ale, żeby tylko lekko i... napisane na papierze, że później koń będzie mój.

— Czy będą lekkie, czy ciężkie rózgi, będzie to zależeć od tego, kto ci je będzie wymierżał — rzekł z uśmiechem właściciel konia, siadając przy stole. — Co do kontraktu, to ci zaraz napiszę.

Dobył kartkę papieru i ołówek i zaczął pisać. Po chwili wstał, czytając:

„Ja niżej podpisany zgadzam się oddać konia Berkowi, właścicielowi oberży, po wymierzeniu mu 25 rózg. *Roman Kwiatek*".

— A teraz ty napisz swoje zobowiązanie — rzekł Kwiatek, zwróciwszy się do żyda.

Berek usiadł ciężko przy stole, napisał niezgrabnie kilka wierszy na kartce i oddał ją panu Kwiatkowi, który przeczytał:

„Ja niżej podpisany, zgadzam się otrzymać 25 rózg, za które otrzymam konia od pana Kwiatka.
Berek, właściciel karczmy".

Po przeczytaniu tych zobowiązań Kwiatek skinął na stojącego opodal parobczaka, który wpatrywał się w karczmarza chciwemi oczyma. Kwiatek, jakgdyby wiedział, kogo wziąć do wymierzenia rózg, gdyż ten parobczak był winien za gorzałkę Berkowi, a przed przyjazdem jego karczmarz odmówił Antkowi na „książkę", z tego więc Antek był zawzięty na żyda, to też na skinienie Kwiatka poskoczył do pobliskiego krzaka leszczyny i wyciął z niego gibki pręt, z którym stanął w pogotowiu. Berka tymczasem rozciągnięto na ławie, przywiązując mu ręce i nogi, ażeby nie przeszkadzały w operacji. Po skończeniu tych przygotowań zbliżył się Antek do ławy i stanął w wygodnej postawie, wzniósł pręt w górę i z całej siły z świstem spuścił na Berkowe plecy.

— Aj... — stęknął karczmarz.

— Raz... — liczyli gospodarze stojący wokoło ławki.

— Dwa...

— Aj...

Potem trzy, pięć, dziesięć, przegradzane każde uderzenie stęknięciem Berka, wreszcie piętnaście...

— Stój... — zawołał Kwiatek — ile już jest?

— Piętnaście — odrzekł Antek.

— Dobrze, dalej!

Znowu posypały się plagi na plecy Berka, który za każdym razem stękał boleśnie. Gdy już wyliczyli szesnaście, dwadzieścia, dwadzieścia cztery, pan Kwiatek ruchem ręki zatrzymał Antka.

— Dość... wystarczy tyle — i zwróciwszy się do gospodarzy rzekł: — Proszę odwiązać go od ławy.

— Aj... — odetchnął Berek, czy już koniec na tem?

— Tak, tymczasem koniec — odrzekł Kwiatek ze śmiechem — a po dwudziesty piąty zgłosisz się do mnie. To mówiąc przystąpił do konia i siadł na niego; pomiędzy obecnymi gospodarzami nastąpiła uroczysta cisza, dopiero przerwał ją głos Berka:

— Na co pan siada, koń należy do mnie.

— Do ciebie należy? — zapytał ze śmiechem Kwiatek, ruszając koniem — przeczytaj pierwej twoją dobrowolną zgodę.

Berek skoczył do stołu, chwycił kartkę, na której sam pisał i przeczytał:

„Ja niżej podpisany zgadzam się otrzymać 25 rózg, za które otrzymam konia..."

Nie skończył, bo w tej chwili rozległ się chóralny śmiech gospodarzy, a najgłośniej to już rozlegał się głos Antka. *Wincenty Kralka.*

Hej góralu! Hej juhasie!



Hej góralu! Hej juhasie!
Tam się w górach trzódka pasie,
Ty samotny, ty jedyny,
Bez chatyny i dziewczyny!
Dziś Zielone przyszły Świątki,
Po wsiach smaczne warzą wrzątki;
Ty samotny wśród gór szczytów,
Wśród smereków i błękitów.
Zbiegnij żywo na równiny,
Skradnij całus u dziewczyny,
A choć w górach masz dość wody,
Bierz kosz piwa dla ochłody...

Nie będziecie wówczas sami,
Ty wraz z twemi owieczkami,
Bo wspomnienie czas umili,
A płyn złoty cię zasili...
Hej góralu! Hej juhasie!
Niech się trzódka twoja pasie,
Ty siądź sobie gdzieś na grani
I myśl o niej... o swej pani,
Która czeka cię tam w dole
W ciężkiej pracy i mozole,
A gdy wiosna, lato minie,
Znów się znajdziesz przy dziewczynie.

Poradnik gospodarczy.

Kwiaty na balkonach.

Upiększenie kwiatami balkonów i okien to piękny objaw kultury; jakżeby inaczej przedstawiały się szare mury miast, gdyby co najmniej ze wszystkich balkonów witały nas żywe barwy kwiatów i zieleń liści.

Ważnem też jest dobierać kwiaty takie, abyśmy mieli ciągłość ukwiecienia skrzynek balkonowych; zgóry przewidzieć należy kolejność kwitnienia, a rośliny, które po opadnięciu kwiatów wyglądają brzydko, należy natychmiast usunąć i zastąpić innemi. — Oczywiście pamiętać należy, że nietylko kwiaty, ale i liście upiększają balkon.

Skrzynki powinny mieć w dnie 10—15 cm. otwory średnicy około 2 cm. dla odpływu zbytecznej wody i dostępu powietrza do korzeni.

Ziemia, którą napełniamy skrzynki, musi być odpowiednio dobrana, a więc: dwie części ziemi inspekcyjnej i jedną część ziemi darniowej; do tego nieco ziemi gliniastej, piasku i miału torfowego.

Ponieważ rośliny hodowane na balkonie mają krótki okres wegetacji i bardzo ograniczoną ilość ziemi, z której czerpać mogą pokarmy, przeto należy zasilić ziemię (przy wkładaniu do skrzynki) dobrze przetrawionym nawozem z pod inspektów (piąta część objętości skrzynki), a pozatem przed sadzeniem roślin zasilać ziemię nawozami sztucznemi: 5 gr saletry chilijskiej, 10 gr soli potasowej (40 proc.), 15 gr superfosfatu (16 proc.) na skrzynkę o 1 m. długości; dobre rezultaty wydają też dodanie 20 gr opałek rogowych.

Z pośród kwiatów, nadających się do upiększania balkonów wymieniamy następujące:

A s t r y: Nadają się zwłaszcza odmiany karłowe. Sadzić możemy jeszcze w początkach maja. Po przekwitnieniu należy je zaraz wyrzucić, bo szpecą balkon.

B a l s a m i n a. Kwitnie przez całe lato różnobarwnie, lubi wystawę słoneczną.

B r a t e k w i e l o b a r w n y. Sadzimy w odstępach 10 do 15 cm. w dwa rzędy. Najpiękniejsze są odmiany jednobarwne.

F a s o l a t u r e c k a. Wyrasta do 4 m jako roślina pnąca o czerwonych, białych lub dwubarwnych biało-czerwonych kwiatach. Siejemy w maju wprost do skrzynek, kwitnie od lipca do września. Udaje się na wystawie południowej.

F u k s j a. Nadaje się do upiększania balkonów, choć rzadko bywa do tego celu używana. Sadzimy wprost do skrzynek lub stawiamy je do skrzynek w doniczkach. Podczas lata trzeba dobrze podlewać i ziemię użyźniać nawozami ciekłemi. Nadaje się na wystawę zachodnią lub wschodnią, a nawet na północną. Przez zimę przechowujemy w doniczkach w mieszkaniu lub niezbyt wilgotnej piwnicy.

G r z b i o n a t k a. Posiada oryginalne kwiaty zrośnięte w jeden pień o drobnych kwiateczkach żółtych lub czerwonych. Rozsadę przenosimy do skrzynek w maju lub czerwcu, sadząc je co 25 cm. Polewać należy obficie. Na wystawę słoneczną.

P e l a r g o n j a. Najczęściej używany kwiat dla ozdabiania balkonów, zwłaszcza dwie grupy pelargonij: pasiaste lub szkarletowe i bluszczowe. Można posadzić bluszczowe przy brzegu zewnętrznym skrzynki, aby zwisały a w drugim rzędzie przy balustradzie posadzić szkarletowe. Sadzimy w maju co 15 cm. w ziemię zasobną w nawozy azotowe. Po wysadzeniu podlewać początkowo bardzo umiarkowanie, aby nie zagniły a dopiero po ukorzenieniu się podlewać stale. Jest bardzo wiele odmian w barwach czerwonej, różowej, białej. Kwitnie przez całe lato.

N a s t u r c j a. Kwitnie żółto lub czerwono przez całe lato; wysiewać można w marcu, kwietniu i w maju wprost do skrzynek. Wybierać należy odmiany niskie. Ładna jest też nasturcja pnąca o żółtych kwiatach wyrastając na 4 m wysokości.

S t r o i c z k a (Lobelia erinus). Niewysoka roślina o kwiatach barwy niebieskiej, szafirowej, purpurowej lub białej. Kwitnie od czerwca do jesieni. Sadzimy do skrzynek w maju w odległości 10 cm.

S t r ó j p l ą t (Maurandia). Doskonale nadaje się do okrywania murów, robienia girland nad oknem lub drzwiami. Kwiaty niebieskie lub purpurowe. — Wiotkie pędy wyrastające do 2—3 m. Wysadzamy w końcu maja w odległości 30—40 cm.

B e g o n j a. Szczególnie nadają się dwie grupy: begonja ciągle kwitnąca (B. semperflorens) i bulwiasta (B. tuberosa). Pierwsza nie znosi spiekoty, nadaje się zatem na wystawę zachodnią, wschodnią, północno-zachodnią. Kwiaty czerwone i różowe i ładne zielonawo-różowawe liście wysuwają ją na czoło kwiatów balkonowych. Sadzimy w maju wprost do skrzynek. Begonję bulwiastą rozmnażamy z bulw. Potrzebuje dużo słońca, wymaga zatem wystawy południowej. Posiada kwiaty białe, żółte, kremowe, różowe i czerwone, kwitnące od czerwca do mrozów. Bulwy oczyszczone z liści przechowujemy w suchem, chłodnem miejscu. W marcu sadzimy je do doniczek w ciepłym pokoju, a gdy roślinki się rozwiną w drugiej połowie maja przesadzamy do skrzynek.

Poradnik lekarski.

Ospa. Objawy: silne dreszcze i gorączka (39—40°), nieznośny ból w krzyżach i występująca na 4-ty dzień wysypka. Wysypka ta zamienia się w zagłębione w środku pęcherze, wypełnione cieczą, która po tygodniu staje się ropą. W dwunastym dniu choroby zasychają.

Leczenie: Wietrzyć pokój, temperatura 11—16° R., okna zasłonić czerwoną bibułą. Pić dużo płynów, soki owocowe, herbatę z bzu, lipy, osłodzoną miodem, trochę wina. Krosty omywać watą zwilżoną w letniej wodzie i zasypywać mączką ryżową, oczy zmywać ciepłem mlekiem, lub robić takież okłady. Aby nie dopuścić do utworzenia blizn, należy robić okłady z mieszaniny nafty i oliwy (1 : 4), lub gliceryny i wody (1 : 2).

Żołądkowe kurcze. Przyczyny: choroba żołądka i innych organów brzusznych, błednica, niedokrewność, histerja, przejedzenie się, zaziębienie i silne wzruszenie.

Leczenie: Na dołek robić gorące okłady z ziół, wody, lub rozgrzanej soli, ewentualnie ciepła kąpiel. W zaziębieniu ciało ogrzewać, dołek nacierać ciepłą oliwą. Pić rumianek, lub krwawnik.

KRONIKA.

Zamach samobójczy ucznia. Uczeń V-tej klasy gimnazjum w Tarnowie Kazimierz Jaworski usiłował odebrać sobie życie podczas nauki religji. Kiedy katecheta ks. Dr. Młodochowski, nie otrzymawszy od niego odpowiedzi na zadane pytanie, kazał mu usiąść, powtarzając pytanie innemu uczniowi, Jaworski wyciągnął rewolwer i strzelił sobie w głowę. Na szczęście kula nie naruszyła mózgu, wobec czego istnieje nadzieja utrzymania go przy życiu. Powodu targnięcia się na życie należy dopatrywać się w zdenerwowaniu chłopca, który od dłuższego czasu nosił się z zamiarem samobójstwa, czego dowodem była próba powieszenia się przed rokiem.

Pomnik Mieszka I. w Cieszynie. W dniu 21 czerwca b. r. odbędą się w Cieszynie wielkie uroczystości związane z odsłonięciem pomnika I go księcia cieszyńskiego Mieszka. W tymże dniu obradować będą w grodzie cieszyńskim polscy muzeologowie, którzy wezmą udział w oficjalnem otwarciu miejskiego muzeum w Cieszynie. W związku z powyższemi uroczystościami utworzył się w Cieszynie z inicjatywy burmistrza Dra Władysława Michejdy komitet pod przewodnictwem p. Rudolfa Halfara, wiceburmistrza miasta Cieszyna i posła na sejm śląski, w skład którego wchodzą przedstawiciele całego społeczeństwa w Cieszynie. Prace komitetu podzielono pomiędzy poszczególne sekcje.

Zięć zabójcą teścia. Z Sanoka donoszą o tragicznem zajściu, które wywołało w całem mieście wielkie wrażenie. Na przedmieściu Sanoka mieszka zamożny gospodarz, 61 letni Jurko Sobek, właściciel domu i kilku morgów pola. Przed dwoma laty jedna z jego córek wyszła zamąż za starszego sierżanta 2 pułku strzelców podhal. Jana Botkę i młodzi małżonkowie zamieszkali wspólnie z ojcem. Wskutek gwałtownego charakteru starego Sobka, w domu jego panowały ustawiczne niesnaski, za lada błahostkę Sobek wywoływał awanturę z dziećmi i zięciem. Tak samo było onegdaj wieczorem. Sobek z błahej przyczyny począł awanturować się z zięciem i w jednej chwili chwycił siekierę i zamierzył się na Botkę. Botko począł uciekać, a gdy stary nie dając za wygraną, ścigał go, wówczas Botko zagrożony, wydobył rewolwer i strzelił tak nieszczęśliwie, że Sobka położył trupem na miejscu. Zabójcę aresztowano. Dochodzenia prowadzi żandarmerja wojskowa.

Rzeź psów. W gminie Kutkorz, w której znajduje się także stacja kolejowa, obok Złoczowa, rzekomo przed kilku dniami pojawił się jakiś pies, dotknięty wścieklizną. Wobec tego starostwo złoczowskie wydało zarządzenie, że wszystkie psy w tej gminie mają być wystrzelane. Dziwnym zbiegiem okoliczności do przeprowadzenia tej masowej egzekucji został przeznaczony tamtejszy gajowy Pohorilec i dwaj znani w tamtejszych okolicach złodzieje wiejscy, Młot i Słobodzian, którzy są postrachem ludności. Onegdaj odbyła się w lesie zarządzona egzekucja. Każdy gospodarz przyprowadził do lasu na oznaczone miejsce swego psa. Młot i Słobodzian wiązali psy po pięć sztuk razem, poczem do takiej grupy strzelał gajowy Pohorilec. Te psy, które odrazu nie zostały zastrzelone a odniosły tylko rany, Młot i Słobodzian w oczach licznych gospodarzy dobijali kawałkami żelaza. Czynność tę wykonywali w ohydny i bestjalski sposób, mszcząc się na tych stróżach domostw za to, że ich nieraz płoszyli w czasie kradzieży. Kilka psów zranionych w lesie niecelnymi strzałami gajowego, zdołało zbiec do wsi, gdzie wśród wielkich męczarni kończyły swoje życie. Egzekucja ta wśród ludności wywołała wielkie rozgoryczenie.

Bohaterski policjant. Z Borszczowa donoszą: W domu mieszkalnym Anny Lewickiej w Łatkawcach wybuchł pożar, wskutek czego spalił się dom mieszkalny oraz garderoba, ogólnej wartości 1.050 zł. Spalony dom był ubezpieczony. Poszkodowana zapomniała zupełnie o dzieciach, które znajdowały się w płonącym domu i dopiero posterunkowy Józef Juljańczyk z Babiniec, który przybył na miejsce, rzucił się natychmiast na ratunek przez okno do płonącego domu, ściągnął śpiące dzieci z pieca i wyrzucił je przez okno na podwórze.

Krwawe chrzciny. Onegdaj we wsi Działorzyn, koło Koropca, zdarzył się straszny wypadek morderstwa, dokonanego przez pijanego gospodarza Baczyńskiego na osobie szwagra. Bogaty gospodarz Baczyński urządził z okazji urodzenia się syna przyjęcie, na które zaprosił całą rodzinę i sąsiadów. Na przyjęcie to zeszło się wielu gości, którym Baczyński niczego nie żałował. O północy, kiedy zabrakło wódki, Baczyński, porządnie pijany, przystąpił do swej połowicy, która spoczywała na łożu i zażądał, by wydała mu klucze z kufra. „Na co ci klucza?“ zapytała żona. „Co znaczy na co?“ odpowiedział Baczyński, „muszę posłać po wódkę“. Żona jednak nie chciała wydać mu klucza Zirytowany tem Baczyński porwał długi nóż ze stołu i rzucił się na żonę, lecz kilku gospodarzy i krewnych rozbroili go. Baczyński jednak począł się z nimi szamotać i co wpadło pod rękę, rzucał na napastników, tak, że pobił kilku do krwi. Jeden ze szwagrów, chcąc go uspokoić, przystąpił do Baczyńskiego, lecz ten porwał nóż i dopadłszy go, jednym zamachem odciął mu głowę od tułowia. Następnego dnia policja aresztowała mordercę.

Prośba o zabicie za 1.000 złotych. Z Radomska donoszą: Pod Pajęcznem mieszkał stary osamotniony wieśniak, Ignacy Dłubak, któremu tak się już życie sprzykrzyło, że dawał 1.000 złotych, aby go ktoś uśmiercił. Wiedzieli o tem wszyscy w okolicy, lecz nikt nie miał ochoty pozbawić życia starca, przeciwnie, pocieszano go, aby sobie głowy głupstwami nie zaprzątał. Zrezygnowany starzec postanowił sam sobie życie odebrać. Poszedł więc w nocy do lasu i powiesił się na suchej wierzbie, stojącej przy trakcie. Rano spostrzeżono wisielca, nie dającego już znaku życia. W czasie rewizji znaleziono w kieszeni u denata dziesięć banknotów po 100 złotych, które w swoim czasie pokazywał sąsiadom, jako przeznaczone na uśmiercenie go.

Sześcioletnia męczennica. Z Warszawy donoszą o strasznej zbrodni, jakiej dopuszczała się na swej 6 letniej córce Natalja Żabicka. Dziewczynka, Stasia Wojnowska, nieślubna córka Żabickiej, od dłuższego czasu cierpiała niebywałe tortury z rąk swej wyrodnej matki, której pomagał małżonek jej Cezary Żabicki, dopóki sąsiedzi nie donieśli o wszystkiem policji. Jak wynika z przeprowadzonego śledztwa, małej Stasi matka nie dawała jeść, a kiedy dziecko dostało coś od litościwych lokatorów, wyrodna rodzicielka biła je za to ze zwierzęcą bezwzględnością. Doraźną karę matka zwykle wymierzała paskiem, od którego Stasia miała sine pręgi na twarzy. Aby sąsiedzi nie słyszeli krzyków, pani Natalja kneblowała córeczce usta. Ulubionemi torturami matczynemi było kłócie dziecka zapomocą szpilek. Osobny rozdział tej martyrologji dziewczynki stanowi przybrany ojciec, Cezary Żabicki. Kiedyś, po egzekucji, kiedy jedna z sublokatorek wzięła spłakane dziecko do swego łóżka, pan Cezary wywlókł maleństwo z pościeli za włosy i skopał nogami. Innym razem, kiedy Stasia niedość starannie odmówiła pacierz, „ojciec“ kazał jej klęczeć w miednicy z drobno porąbanym węglem tak długo, aż z pokaleczonych kolan dziecięcych trysnęła krew. Mal-

tretowaną dziewczynkę zbadał lekarz powiatowy. Obdukcja lekarska brzmi wprost przerażająco. Na wątłem ciele dziecka znaleziono ślady 22 ukłuć szpilką oraz 6 opuchnięć i sińców. Na podstawie tego orzeczenia sędzia śledczy zarządził odebranie Stasi rodzicom i umieszczenie jej w Pogotowiu opiekuńczem. Wyrodną matkę aresztowano, ojca zostawiono na wolności, aby trojga jego dzieci nie pozbawiać opieki ojcowskiej.

Orgje nad stygnącym trupem. W tych dniach wieś Suchodoły w pow. krasnostawskim, była terenem niebywałego zajścia, które do głębi wstrząsnęło całą okolicą. We wsi zmarł małorolny gospodarz Stanisław Denis. Denis, nie mając dzieci, cały swój mająteczek zapisał żonie Na wiadomość o tem, wśród krewnych zmarłego zawrzało. Postanowili się zemścić. Na wieść o śmierci Denisa do domu, w którym leżały ciepłe jeszcze zwłoki, wpadła matka zmarłego z córkami i przeklinając w okropny sposób zmarłego syna wszczęła skandaliczną awanturę z dopiero owdowiałą synową o pozostały majątek. Bracia zmarłego byli w tym czasie na jarmarku. Tu dowiedzieli się też o śmierci brata. Na tę wiadomość wyruszyli natychmiast do domu. Z wozu wpadli natychmiast do mieszkania zmarłego. Nad zwłokami zmarłego rozpoczęła się straszna orgja. Do trupa dopadli rozwydrzeni bracia z zaciśniętemi pięściami, przeklinając w straszny sposób zmarłego brata i kopiąc łóżko, na którym leżały jego zwłoki. Nie mogąc zemsty swej wywrzeć na zimnym już trupie, rzucili się na owdowiałą żonę i jej ojca. Przerażony starzec zbiegł z mieszkania. Niewiadomo, na czemby się cała ta bestjalska orgja skończyła, gdyby sąsiedzi nie zawiadomili policję. Przybyła na miejsce policja z trudem całe to skandaliczne zajście zlikwidowała. Zmarły Denis był człowiekiem spokojnym, miał opinję człowieka pracowitego i uczciwego. Dzięki właśnie tej pracowitości i oszczędności ocalił majątek, który ojciec w karczmie roztrwonił. Tego zazdrościli mu bracia, którzy raczej szli śladami ojca i ta zazdrość doprowadziła ich aż do takiego barbarzyństwa i zdziczenia.

Najechanie furmanki przez pociąg. Donoszą z Brześcia nad Bugiem, że pociąg osobowy najechał na przejeździe kolejowym na furmankę, w której jechało kilka osób. Furmanka została strzaskana, zaś trzej jadący w niej podróżni ponieśli śmierć. Dwaj inni, odrzuceni siłą uderzenia do rowu, ocaleli.

Śmiertelny pojedynek. W ubiegłym tygodniu o godz. 4 rano w lesie rudawskim w pobliżu Nieświeża między studentem uniwersytetu Stefanem Starnawskim a porucznikiem 27 p. ułanów Antonim Marcinkiewiczem odbył się pojedynek na pistolety. Starnawski trafił Marcinkiewicza w okolicę serca, kładąc go trupem. Po pojedynku zgłosił się do dyspozycji władz sądowo-śledczych.

Tragiczna śmierć komunisty. Koło miejscowości Orany były student uniwersytetu wileńskiego Samuel Pirocki, znany komunista, wieziony pod eskortą wyskoczył z pociągu w pełnym biegu i poniósł śmierć na miejscu.

Śmierć od pioruna. Z Wilna donoszą: We wsi Mamaje, gminy głębockiej, pow. dzisnieńskiego, zdarzył się tragiczny wypadek. W okolicach Głębokiego szalała straszna burza. Podczas burzy przeszły nad okolicą dwie fale gradowe, które w niektórych wioskach powybijały szyby w oknach. Burza szalała przez kilka godzin. Raz po raz uderzały pioruny. We wsi Mamaje, 16-letnia dziewczyna, Paulina Dalidzionek, ukończywszy zajęcie koło gospodarstwa, zmywała naczynie w domu. Podczas tej pracy uderzył w komin piorun, wleciał do chaty i na miejscu zabił dziewczynę, uderzając ją w pierś. Wchodzącą w tym czasie do chaty kobietę pęd powietrza odrzucił do ściany w sieni. Żadne zabiegi lekarskie nie pomogły, a sprowadzony lekarz stwierdził śmierć przez uderzenie pioruna w okolicę serca.

Morderstwo rabunkowe w pociągu. W pociągu w pobliżu stacji Konin dokonano morderstwa rabunkowego a zwłoki ofiary wyrzucono przez okno będącego w biegu pociągu. Jak się okazało, zamordowanym był Antoni Ostrowski, zamieszkały w Poznaniu. Ostrowski wracał z Warszawy do Poznania w przedziale III-ej klasy. W drodze koło miejscowości Spławie pod Koninem zamordowano Ostrowskiego i wyrzucono go przez okno. Następnego dnia rano zwłoki znaleziono w rowie w pobliżu toru kolejowego. Na miejsce wypadku udała się komisja sądowa, która stwierdziła, że ś. p. Ostrowski był zamordowany podczas snu uderzeniem tępem narzędziem, miał lewą rękę zranioną a ponadto znaleziono ślady duszenia. Zamordowanemu zrabowano zaledwie 30 zł. Przy zwłokach znaleziono portmonetkę zawierającą około 5 zł. Przypuszczają, że tragicznie zmarły Ostrowski padł ofiarą rabusiów-usypiaczy, jadących równocześnie w przedziale, gdyż również i jego towarzysze podróży zasnęli snem kamiennym.

Napad 100 bandytów na pociąg. Na stacji kolejowej w Gdyni dokonano zuchwałego napadu, który tylko dzięki zdecydowanej postawie służby kolejowej nie przybrał groźniejszych rozmiarów. Podczas przetaczania przybyłych do Gdyni 20 wagonów naładowanych węglem, bekonami i cukrem zebrała się banda, licząca około 100 ludzi. W pewnej chwili banda rzuciła się na wagony w zamiarze rabunku. Służba kolejowa zagroziła strzałami. Nie odniosło to jednak skutku i zaczęto rozbijać rygle i zamki u wagonów. W tej chwili ktoś ze służby kolejowej krzyknął dla postrachu: „Wojsko, policja nadciąga ze wszystkich stron". W bandzie wybuchła panika, złoczyńcy poczęli uciekać. Służbie kolejowej udało się kilku przytrzymać. Istnieje przypuszczenie, że napad był planowany przez żywioły wywrotowe, których przywódcy przybyli w tym celu z Gdańska.

Zamienione zwłoki. W jednym z wiedeńskich szpitali zdarzyło się ubiegłego tygodnia, że równocześnie prawie umarli tam dwaj pacjenci: 70-letni Józef Lukas i 45-letni Franz Prohaska. Pogrzeb Lukasa miał się odbyć z hali cmentarza na Simmeringu, a pogrzeb Prohaski na cmentarzu w Ottakringu, w tym samym dniu i o tej samej porze. Gdy w hali cmentarnej na Simmeringu zgromadziła się rodzina i żałobnicy i otworzono trumnę, doszło do bardzo przykrej sceny. W trumnie spoczywały zwłoki znacznie młodszego człowieka, którego rodzina nie znała. Identyczna scena wydarzyła się w hali cmentarnej na Ottakringu. W trumnie leżały zwłoki starca, zamiast zwłok człowieka w średnim wieku. Po stwierdzeniu omyłki i przeprowadzeniu „dowodu tożsamości", pochowano nareszcie zwłoki dopiero nazajutrz. Zarząd szpitala usprawiedliwił się, że wypadek nastąpił z powodu tego, iż zamieniono trumny, a przytem ubrania, w których pochować miano obydwu nieboszczyków, dostarczone przez ich rodziny, były prawie że jednakowe.

Fałszywa hrabina złodziejką. Wiedeńskiemu Urzędowi bezpieczeństwa udało się ulokować pod kluczem niebezpieczną oszustkę, która w swoim czasie dopuściła się sensacyjnych machinacyj zbrodniczych, a w ostatnich czasach miała na sumieniu szereg nowych nieczystych sprawek. Występowała ona stale pod nazwiskiem hrabiny Bogdanowicz, choć naprawdę nazywa się Ida Kaas i urodziła się w r. 1892 w Czerniowcach. Ida Kaas została uwięziona na podstawie doniesienia Generalnej Organizacji Związków Ślepców austrjackich. Oto pobra-

ła ona kilka tysięcy szylingów dla tych nieszczęśliwych, a następnie przywłaszczyła sobie te pieniądze. Ida Kaas kilkakrotnie już operowała na terenie Wiednia, objawiając w swych oszukańczych poczynaniach spryt niezwykły. Wysoka, przystojna brunetka, zawsze elegancko ubrana i odznaczająca się wytwornem obejściem — robiła rzeczywiście wrażenie arystokratki, za którą się podawała. Według jej opowiadań, miała ona rzekomo poznać zagranicą polskiego hrabiego Bogdanowicza i zostać jego żoną. Następnie jednak rozeszła się z mężem i żyła samotnie. Wszystkie jej szczegóły okazały się zmyślonemi, gdyż Ida Kaas jest niezamężną i nigdy żadną hrabiną nie była. Zdumiewającą jest zaiste łatwowierność osób, nabranych przez tę genjalną oszustkę. Ludzie stale posiadali ogromne zaufanie do tej „arystokratki", która umiała z tego korzystać z wielką zręcznością. Ile razy jednak policja wpadała na trop jej sprawek, piękna Ida znikała bez śladu, aby dopiero po dłuższym czasie pojawić się znowu w Wiedniu, gdy wszystko już ucichło. Tym razem powinęła się jej noga i przystojna „hrabina" nie tak szybko wydobędzie się z rąk karzącej sprawiedliwości.

Nowy prezydent Francji. Dnia 13 b. m. odbyły się we Francji wybory prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej. Przy pierwszem głosowaniu prezydent Senatu Doumer otrzymał więcej głosów od ministra spraw zagranicznych Brianda, ale do wyboru brakło mu 7 głosów. W drugiem głosowaniu, po rezygnacji Brianda, Doumer otrzymał większość i został wybrany, natomiast kandydat socjalistyczny przepadł przy wyborze.

Strzał do nieboszczyka. W jednem z włoskich miast prowincjonalnych po śmierci dyrektora miejscowego instytutu technologicznego jedna z bliskich mu osób (kobieta), będąca profesorką tegoż instytutu, dała z rewolweru strzał do nieboszczyka, w ten sposób, że kula przeszyła serce. Zmarły dyrektor częstokroć dawał wyraz swej obawie, że może być za życia pogrzebany i dlatego do wielu osób zwracał się z prośbą, aby po jego śmierci przekłóto mu serce igłą, albo też przebito kulą rewolwerową. Wyżej wzmiankowana profesorka natychmiast zawiadomiła policję o popełnionym czynie.

Matka 10 dzieci powiła czworaki. Pani D. O. Yarbrough z Luceeale (Stany Zjedn.), mająca już dziesięcioro dzieci, spodziewała sią znów potomstwa. Jakie było zdziwienie i przerażenie lekarzy i rodziców, kiedy na świat przyszły czworaki, dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Jest to wypadek tem osobliwszy, że podobnie jak i wszystkie poprzednie dzieci p. Yarbrough ostatnia jej czwórka jest zdrowa i zapowiada się na tęgie i silne dzieci.

Ślub arcyksięcia z Kanadyjką. Arcyksiążę Leopold Habsburg, brat zaręczonego z ks. Ileaną arc. Antoniego, zaręczył się obecnie w Paryżu z pewną bogatą Kanadyjką Mrs. Alicją Gibson Coburg. Arcyksiążę Leopold był w swoim czasie zamieszany w sensacyjny proces o naszyjnik Marji Ludwiki, dar Napoleona. Wyszedł zeń jednak w pełni zrehabilitowany. Będącym w więzieniu śledczem opiekowała się mrs. Gibson wierząca niezachwianie w jego niewinność.

Interesująca walka z szarańczą. W ostatnich latach używa się (nawet u nas) aeroplanów do walki ze szkodnikami leśnemi i polnemi. Lotnicy otrzymują odpowiednie trucizny, które sieją z góry. Wynik takich zabiegów jest niemal zawsze dodatni. Tem więcej, że akcja taka trwa krótko i wypada taniej aniżeli gdyby była prowadzona normalnie, to jest na ziemi. W okolicach podzwrotnikowych szczególną walkę wypowiedziano szarańczy. Do ataków na nie użyto aeroplanów. Rezultaty pierwszych lotów były świetne. Zatrute szarańcze padały setkami tysięcy pokotem. Ale po pewnym czasie... zmądrzały i spostrzegłszy lecący górą aeroplan, zaczęły uciekać panicznie w stronę przeciwną. Lotnicy zdumieni tem zjawiskiem, nie wiedzieli początkowo co robić, wracali więc z zapasami trutki na lotniska. Gdy jednak scena ta powtórzyła się kilka razy, lotnicy zaczęli zawracać za chmurami uciekających owadów. Pierwszy i drugi pościg omal że nie skończył się dla lotników fatalnie, gdyż chmury szarańczy uniemożliwiły lot, atakując aeroplan. Przy następnych jednak lotach szarańcza zmądrzała znowu i, zrozumiawszy iż walka z aeroplanem jest niebezpieczna usiłowała tylko jak najdalej uciec. Lotnicy pędzili ją tak długo, aż osiadła na pustkowiu bezludnem. Wynik kilku takich lotów był ten, że lotnicy zaniechali sypania trucizny, zadawalając się jedynie przepędzaniem szarańczy z okolic żyznych. Przepędzanie chmur szarańczy wygląda bardzo zabawnie, a lotnicy zasmakowali w tym sporcie mówiąc, że jest on interesujący nietylko ze względu na cel, ale i pod względem sprawności lotniczej. Atakując szarańczę, trzeba bowiem nie dać się przez nią ogarnąć, trzeba pędzić ją umiejętnie, uniemożliwić jej wszelkie próby wymknięcia się, a w konsekwencji, świetnie latać. Ataki tego rodzaju są przedsiębrane przez kilku lotników, którzy formują jeden szereg i równocześnie manewrują...

Tygrys na stacji. Niezwykły wypadek, który mógł groźne spowodować następstwa, zdarzył się w Indjach. Oto na małej stacji kolejowej wre codzienne życie. Za chwilę nadejdzie pociąg. Służba i urzędnicy o bronzowej cerze krzątają się na peronie. Przekupka rozłożyła pod parasolem swój kramik z jabłkami, granatami i pomarańczami. Jakiś ptak żeruje pomiędzy szynami. Naraz rozlega się przejmujący krzyk: „tygrys, tygrys!"...



I olbrzymi, straszny zwierz wpada jak piorun na stację. W okamgnieniu opróżnił się peron. Urzędnicy i służba w popłochu uciekli i zamknęli się w budynku stacyjnym. Niektórzy ze zręcznością małp wydrapali się aż na poddasze. Przekupka w ogromnych susach dopadła drzwi budynku, pozostawiając towar swój na łaskę zwierza. Straszny zwierz widząc, że żer mu się wymknął, ryczy wściekle i swoją potężną łapą tratuje jabłka i pomarańcze, i pastwi się nad koszyczkiem. Niebawem spłoszył go nadchodzący pociąg, a podróżni jadący pociągiem, dowiedzieli się o tem ciekawem zdarzeniu.

Najlepiej płatny dziennikarz świata. Jest nim oczywiście Amerykanin, współpracownik największego koncernu prasowego w Stanach Zjednoczonych, tak zwanej „żółtej prasy" Hearsta. Jest to Mrs. Artur Brisbane, który za swoje artykuły otrzymuje 300.000 dolarów rocznie. Od 29 lat swej pracy zawodowej napisał Brisbane przeszło 20 miljonów słów a uciułał sobie tak znaczny majątek, że koledzy jego nazywają go z przekąsem „człowiekiem, który pisze złotem".

RZECZY CIEKAWE.

Oryginalny jubileusz.

Jednem z najlepiej zachowanych miast z epoki średniowiecza jest Rothenburg, dotychczas jeszcze otoczone staroświeckiemi murami obronnemi. W jego obrębie nie wolno wznosić budowli, nieodpowiadających stylowo jego starożytnym domom. Rothenburg, gdzie co krok spotyka się pamiątki historyczne i... znakomicie urządzone piwiarnie, obchodzi oryginalny jubileusz.

Przed trzystu laty, podczas wojny 30-letniej, Tilly, wódz armji cesarskiej, walczący przeciwko Gustawowi Adolfowi, obległ mocno ufortyfikowany Rothenburg. Po gwałtownem bombardowaniu, Tilly zdobył miasto i oddał je na łup swoim żołdakom. Radni miejscy, którzy nie chcieli usłuchać rozkazu poddania miasta bez walki, mieli zginąć pod toporem kata. Na wiadomość o tem, matki, małżonki i córki skazanych na stracenie radców udały się do wodza cesarskiego i jękiem i płaczem błagały zwycięzcę o łaskę dla swych synów, mężów i ojców. Jednocześnie zaś córka piwnicznego miejskiego, dobywszy ze skrytek pod ratuszem najlepsze wina i piwa, uroczyście ugościła Tilly'ego i jego oficerów.

Rozochocony Tilly oświadczył, że daruje życie burmistrzom i radcom, jeżeli którykolwiek z nich zdoła wychylić jednym haustem puhar w kształcie buta, zawierający tyle piwa, ile wojskowy but feldmarszałka Tilly'ego. Zadania tego podjął się najstarszy wiekiem burmistrz Nusch i wychylił puhar jednym haustem do kropli, „co jednak — jak zapewnia kronika — nic mu nie zaszkodziło".

Tilly dotrzymał słowa. Ułaskawił burmistrza i radców, zakazał dalszego rabunku miasta.

Pamiątkę tego nadzwyczajnego zdarzenia Rothenburg obchodzi corocznie pochodem historycznym, tańcami i różnemi zabawami. W roku bieżącym uroczystości te, odbywające się stale na Zielone Świątki, mają być niezwykle wspaniałe, nietylko ze względu na trzechsetleni jubileusz bohaterskiego czynu burmistrza Nuscha.

„But piwa" znany był za dawnych czasów i w naszych miastach. Przed wojną w niejednej restauracji mieszczanie urządzali zawody w piciu „duszkiem" piwa z kufli mających kształt buta. Dziś czasy są skromniejsze. Gość zamawia t. zw. „sznit małego" — i pije go dwie godziny. Gardło by wytrzymało, ale kieszeń stała się mniejsza...

Zabobony w medycynie.

Mimo olbrzymiego postępu medycyny, kwitnie na każdym kroku znachorstwo i zabobon w medycynie. Omawianie szczegółowo tego zagadnienia wymagałoby tomów całych, o niektórych jednak należy wspomnieć. I tak znają znachorzy środki na wszystkie bóle, a więc przedewszystkiem na utrzymanie przy zdrowiu zdrowych, więc aby zostać zdrowym, trzeba pić w maju krew bocianią, albo sok z gruszkowego drzewa, lub też nosić na szyji woreczek z ziemią zebraną na cmentarzu. Długo żyć będzie, kto je spleśniały chleb, o swych latach nie mówi i nigdy jaskółki nie zabił. Albo utrzymuje lud, że umiera młodo, kto stąpa po rozlanej wodzie, lub następuje na żelazny gwóźdź.

Jakże zabobon leczy bóle głowy?

Otóż od bólu głowy ustrzec się można na czas całego roku, pijąc maślankę w dzień Bożego Narodzenia, albo jeśli w zwyczajny piątek wytrze twarz trzykrotnie rąbkiem koszuli. Jeśli jednak te środki zawodzą, wtedy trzeba stosować inny środek, nigdy nie zawodzący, a mianowicie okręcić trzy razy dookoła głowy sznurek, następnie zdjąć go, zrobić pętlę i zawiesić ją na drzewie, a gdy przez tę pętlę przeleci ptak, to ból głowy zabierze.

Domeną zabobonu znachorów jest też ból zębów. Otóż aby ustrzec się przed bólem zębów, trzeba na nowiu obciąć paznogcie, pościć w Zielone Święta, lub używać wykałaczki z drzewa, w którą uderzył piorun. Najsilniejszy jednak ból zębów ma usunąć ząb zmarłego, który się nosi w kieszeni.

Brodawkę usuwa zabobon też w sposób dość oryginalny, mianowicie należy się brodawki dotknąć tylko gwoździem z trumny, albo podczas pełni zdjąć kawałek kory z pnia wierzby, a brodawki znikną.

Różę na twarzy usunąć można przez posmarowanie krwią z ogona kota. Od kaszlu ma chronić skórka zająca, noszona na piersi, a od opilstwa leczy gorzałka, do której wrzucono pieniądz, który przez dobę był w ustach nieboszczyka.

Szereg tych przykładów dowodzi, jak bezsensowny i wprost dziwaczny jest zabobon ludzki, szerzący się jeszcze ciągle wśród nieoświeconego ogółu.

Kolor włosów a temperament.

Wybitny amerykański psycholog profesor Wiliam Marston, od szeregu lat oddawał się z zamiłowaniem studjom nad psychiką kobiet. Owocem tych studjów był szereg cieszących się wielkiem powodzeniem odczytów o swoistej, a tak bogatej psychice kobiet. Jeden z odczytów poświęcony był zagadnieniu zależności temperamentu kobiety od koloru jej włosów. Wywody swe opierał prelegent na wynikach licznych badań kobiet różnych ras, typów i sfer.

Zdaniem profesora Marstona, cechy charakteru, rysy twarzy, kolor włosów, oczu i skóry powodowane są przez taki lub inny skład chemiczny krwi ludzkiej, nie są więc dziełem przypadku i na ich podstawie można sądzić o usposobieniu i charakterze danej osoby.

Co do brunetek, prof. Marston nie wypowiada rewelacyj: pod względem wrażliwości przewyższają one blondynki i szatynki, w miłości więcej zależy im na rozbudzeniu uczucia w mężczyźnie, niż na odwzajemnieniu się mu, a jednocześnie bardziej interesuje je obserwowanie gry swego uczucia, niż poddawanie się miłości mężczyzny; jeśli brunetka napotka na opór wobec swych zachcianek i mężczyzna nie ulegnie jej we wszystkiem, wpada w zdenerwowanie i zaciekłość, nieraz posiłkującą się zemstą i często doprowadzającą do katastrofy.

Blondynka musi być stale i głęboko kochaną, jeśli mężczyzna chce ją widzieć zadowoloną i szczęśliwą, największą dla niej rozkoszą jest oddawanie się miłości i uległość wobec kochanego i kochającego ją mężczyzny.

Najniebezpieczniejsze — zdaniem Marstona — są kobiety rudowłose, kolor ich włosów jest niejako ostrzeżeniem dla nieprzezornych mężczyzn. Bardziej pokrewne brunetkom nieznoszą poddania się i uległości, wzbudzają uczucia, lecz nie ulegają im. Oporność mężczyzny budzi w nich pasję walki, lecz wybuch bywa krótszy i mniej gwałtowny, niż u brunetki; namiętne i wierne w miłości nie posiadają jednak dostatecznej równowagi brunetek, ani subtelności blondynek.

Przechodząc do zagadnienia małżeństwa, prof. Marston uważa za najsilniejsze spoidło w małżeń-

stwie miłość; na niej — jego zdaniem — powinno się budować życie i według niej powinna być regulowaną ludzka praca, aby poza godzinami trudu mógł człowiek żyć pełnią domowego ciepła. Wszelka praca, której warunki pozbawiają małżeństwo przytulności i radości domowego ogniska jest złem społecznem, które należy za wszelką cenę usunąć.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **A. Łazarczyk** w G.: Opis z pustyni Darwas bardzo zajmujący, ale nie posiada ujęcia literackiego. Trzebaby go przerabiać zupełnie i nadać mu inną formę, a na to nie mamy czasu. Co do zezwolenia na kino objazdowe, to najlepiej poinformują w starostwie. Podanie w każdym razie trzeba robić przez starostwo, gdyż to musi wydać o Panu opinję. Z okręgu białostockiego do Sejmu z listy BB. zostali wybrani posłami pp.: Car Stanisław, Walewski Jan, Bzowski Włodzimierz, Jaroszewicz Michał, i zdaje się, że później jako zastępca któregoś z poprzednich, wybranych i w innych okręgach, wszedł do Sejmu p. Michał Motoszko. — **Józef Pachołek** w K.: „List artysty jakkolwiek dobry, ale dla „Roli" nie nadaje się. — **Miłośnik „Roli"**: Za wierszyk, napisany na moją cześć, serdecznie dziękuję. Nie może on jednak być drukowany w „Roli", gdyż wyglądałoby to na samochwalstwo. Drugi przeznaczamy do druku. — **Józef Talar** w I.: Wierszyk „Orka" dość udatny, więc o ile kiedyś miejsce pozwoli, zamieścimy go. — **Józef Drozd** w W.: Fantazja nadzwyczajna, ale treść nieuporządkowana. W tej formie trudno drukować. — **Krystyna Górecka** w K.: Owszem, i brat może odebrać w godzinach od 9—1 i od 4—7. — **Helena Hartwichówna** w K.: Nadesłane zagadki zupełnie dobre, więc w miarę miejsca wydrukujemy je. — **Jakób Poss** w K.: „Zegar" zbyt mały drobiazg; nie wydrukujemy. — **A. Mirek** w J.: Adres do domu brzmi: Fr. M. Skomielna Biała. Obecnie służy w wojsku w Nowym Sączu. Tam bliższego adresu nie znamy. — **Winc. Zoła** w B.: Za zmianę adresu 40 groszy, które prosimy nadesłać z prenumeratą. — **Daniłkiewicz Ludwik** w W.: Prosimy starać się, aby prócz Pana było tam kilku innych prenumeratorów. „Na bezludnej wyspie" skończymy niedługo. Po upomnieniu się wylosowanej nagrody, zaraz wysyłamy. Za usiłowania celem rozszerzenia „Roli" dziękujemy i wzajemnie pozdrawiamy. — **P. Piłat** w T.: Rój pszczół można sprowadzić i od tego, który ma do nabycia, można też dowiedzieć się ceny i sposobu przesłania.

Skrzynia jako... Tabernakulum.

Zdaje się rzeczą wprost nie do wiary, ale przecież donosi o tem Ojciec Müller, misjonarz w St. Patrick, w Afryce południowej, a więc człowiek całkiem wiarygodny. Oto co pisze o ostatecznem ubóstwie swojej nowozałożonej misji:

Jestem zupełnie przybity kłopotami, w tej misji założonej w roku 1928. Z największą biedą zdobyć się mogę na sprawienie rzeczy najkonieczniejszych do życia. Jedna z tutejszych rodzin dostarcza mi od czasu do czasu jaj i masła, pieniędzy nie otrzymuję prawie żadnych. Siostry od św. Krzyża przysyłają mi czasem trochę jarzyn. Raz otrzymałem małą skrzynkę, z której zrobiłem tabernakulum, tak, że od Wielkanocy 1930 r. mam w kaplicy Najświętszy Sakrament. Kaplica ta zresztą jest dawną szopą na kukurydzę, tylko obecnie pokryłem ją blachą.

Panuje w niej nieraz taki upał, że parafinowe i stearynowe świece prawie całkiem się roztapiają. Jedna krawcowa, katoliczka, podarowała mi dwie górne części od lichtarzy, oprawiłem je w drewniane podstawki i to są moje lichtarze w kaplicy. Wieczną lampkę sporządziłem sobie sam z arkusza blachy i części pługa. Dostałem także połamaną kropielnicę na wodę święconą, którą sobie posklejałem — za drugą kropielniczkę służy miseczka od mydła. Dawna solniczka i naczynie na pieprz zamieniły się na dzbanuszki do Mszy św., a złamana oś wozu zastępuje nam dzwon. Mimo to nie tracę odwagi, chociaż chwilami bardzo ciężko.

Czyż taka nędza nie wzruszy do głębi każdego katolickiego serca, zwłaszcza jeżeli dodamy, że w takim położeniu, jak Ojciec Müller, znajduje się wielu misjonarzy w Afryce.

Ktoby zechciał złożyć ofiarę na ten najbiedniejszy kościółek w Afryce, niech ją prześle do Sodalicji św. Piotra Klawera pod adresem: Kraków, ul. św. Marka 25.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Małopolsce.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Kraj w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Powieść Prusa.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Przedstawiciel firmy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pierwiastek chem.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Marka zegarków.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Deszcz
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd sportowy.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Despota.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd sportowy.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wzniosły cel.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Zwierzę.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pieniądz.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Morze.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Zboże.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Gatunek skóry.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Student.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie (zdrob.).

Litery zamiast kwadracików czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

2. Szarady.

(Ułożył Kula W. z M. K).

I.

Pierwszy drugi trzeci część czwartego,
Szedł sobie na przechadzkę do parku owego,
Tam go powitała druga trzecia czwarta,
Wnet pierwsza druga stanęła na stole,
Gdy spojrzeli w pole ujrzeli całość,
Co w Polsce oddawna świetną kartę miała.

II.

Pierwsza z pierwszą dziecię woła,
Gdy się gniewasz posyłasz wszystkich,
Do trzeciego pierwszego lub szukasz
[drugiego pierwszego.
Całość ludzie używają przez co państwo
[popierają.

III.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Czy wprost czy wspak czytamy
Zawsze przyrząd sportowy mamy.

3. Układanka botaniczna.

(Ułożył Fr. Kawczak z O.).

Spółgłoska + samogł. + zwierzę wodne = ?
Spółgłoska + mieszkanie pszczół + samogłoska + tytuł = ?
Spółgłoska + imię męskie = ?
Przylądek + część twarzy = ?
Spółgłoska fonetycznie + dekret papieski = ?

4. Łamigłówki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Przez „w" ptak w czarnym kolorze,
Przez „b" drapie, lecz nie orze.

II.

Gdy przez „m" to strasznie boli,
Przez „r" pisze list do „Roli".

5. Bilet wizytowy.

(Ułożył W. Kula z M. K.).

Daniel Cynsz.

Odczytać zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 29 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 19 „Roli": 1. Logogryf: Kościuszko-Pułaski. 2. Szarady: I. Redaktor. II. Krytyka. 3. Szarada literowa: Katar-tarka. 4. Zadanie rybne: Kucharz na śniadanie imieninowe swego pana podał pstrągi. 5. Bilet wizytowy: Komisarz celny.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Józef Cieplik z K., Tomasz Tiszler z S. S., Teofil Burman z K., Juljan Krysiński z P., Józef Górecki z K., Krystyna Górecka z K., Władysław Szproch z D. G., Jadwiga Prągłowska z Z., Witold Hein z K., Wojciech Lorenc z Ł., Felicja Guzik z F.

Nagrody wylosowali pp.: Władysław Szproch z D. G. i Teofil Burman z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Co innego sumienie, a co innego kieszeń.

— Słuchaj Mosiek, czy masz sumienie?

— Jak ja mogę nie mieć sumienia?

— A jednak zdzierasz i bierzesz 10 od sta na miesiąc?

— No, to przecież nie idzie do sumienia tylko do kieszeni.

W szkole.

N a u c z y c i e l: Jasiu, opisz mi gęś. — Macie wy gęsi?

J a ś: Gęsi nie mamy, jeno gąsiora.

N a u c z y c i e l: A jak on wygląda?

J a ś: On wcale nie wygląda, bo go zawarli do chlewika, a tatulek wszystkie dziury pozatykali, coby nie wyglądał, bo go mamulka karmią.

Na jarmarku.

— Ej Mośku! sprzedaliście mi takiego konia, co wcale nie chce żryć.

— Ny, o co wam chodzi, Michale, na dzisiejsze czasy to właśnie taki koń jest najlepszy.

U adwokata.

A d w o k a t: Tylko mówcie prawdę... jak to było...

W i e ś n i a k: Ja tam szyćko mówię prawdę, a łgać to już z przeproszeniem robota pana jadwokata.

Zabobonny.

S ę d z i a: Dlaczego obrabowałeś w lesie tego pana z pieniędzy?

Z b ó j: Jestem zabobonny, panie sędzio. Właśnie usłyszałem pierwszy raz tego roku kukułkę, i chciałem zadzwonić pieniędzmi!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 15 maja b. r.

Pszenica	32·00—32 50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	27·50—28·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies . .	28 50—29·50	Koniczyna na-	
Jęczmień . .	27·00—28·00	sienn. czer.	290·00—320·00
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka żytnia	42·50—48·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Mąka pszen.	56·00—57·00
Siano słodk.	15·00—16·00	Otręby pszen.	20·00—21·00
Łubin żółty	34·00—36·00	Otręby żytnie	19·50—20·00
Koniczpastew	20·00—22·00	Mąka czerw.	25·00—00 00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 15 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·22 zł.	Jałownik	od 1·14 do 1·25 zł
Woły . .	od 1·19 do 1·30 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 1·30 zł
Krowy .	od 0·95 do 1·12 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł
Nierogaciznę	1·30 do 1·40 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·65 do 1.75



Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.